Nr. 237. Lwów — Wtorek dnia 3 Października. Rok 1906.

Wychodzi w dni powszed. o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA i PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nie przyjmuje

Dziś: św. Jana Kap. — Eulampiusza | Jutro: św. Rafała Arch. — Filipa Ap.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o godz. 6 min. — Zachód „ „ 4 „ 13
Długość dnia godzin 10 min. 13 Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Dymisya hr. Gołuchowskiego.

Otrzymaliśmy dziś rano następującą depeszę:

Wiedeń. Minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski oddał swój portfel Cesarzowi do dyspozycyi. Monarcha w zasadzie przyjął dymisyę.

Do smutnej tej wiadomości przynosi jedno z półurzędowych pism węgierskich następujący komentarz:

„Dr. Wekerle nabrał przekonania, że nie posiada dostatecznego wpływu, aby dotrzymać swego przyrzeczenia, że potrafi poprzeć hr. Gołuchowskiego w węgierskiej delegacyi. Dlatego dr. Wekerle udał się do Wiednia, zdał Cesarzowi w sobotę sprawę o położeniu. Równocześnie wyraził dr. Wekerle gotowość w imieniu rządu węgierskiego postąpić solidarnie z ministrem spraw zagranicznych i podać się do dymisyi.

„Korona początkowo zajęła wobec tych propozycyi oporne stanowisko i poleciła dr. Wekerlemu, aby jeszcze raz poczynił starania, celem nakłonienia węgierskiej większości rządowej do zapewnienia spokojnego przebiegu sesyi delegacyjnej przy pozostaniu hr. Gołuchowskiego w urzędzie. Ale dr. Wekerle nie mógł wywrzeć tego wpływu na większość rządową. Wobec tego na sobotniej audyencyi hr. Gołuchowskiego u Cesarza zapadła decyzya, że hr. Gołuchowski jeszcze w b. m. ustąpi z urzędu i na żaden wypadek nie pojawi się przed delegacyą."

Tyle ten półurzędowy komentarz.

Oczywiście minister Wekerle, niemogący wywrzeć wpływu na swoją ministeryalną większość, jest nowotworem politycznym, którego wynalezienie zapisze historya w całości na rzecz Węgier.

Dla nas ta sprawa jest z dwóch przyczyn nadzwyczaj smutna i bolesna. Raz bowiem dotyka ona nas jako Polaków i serce bolem przejmuje na widok, że rodak nasz, człowiek ogromnie dzielny, niesłychanie rozumny, przewidujący, wśród dzisiejszych europejskich mężów stanu może pierwszy, a już conajmniej jeden z najpierwszych, ustępuje z posterunku bez żadnej winy, bez popełnienia najmniejszego błędu, wprost dlatego tylko, że nie był na rękę szowinistom węgierskim.

Następnie przejmuje ona nas bolem jako obywateli państwa austryackiego na widok tego, że radykalizm zalitawski, bezwzględna ordynarna zachłanność naszych zakarpackich sąsiadów prowadzi monarchię do zguby, obniża jej urok i powagę na Wschodzie i rzuca ją na pastwę eksperymentów politycznych nadzwyczaj niebezpiecznych. Prosta bowiem rzecz, że Serbia, ten teraz dziwny sprzymierzeniec Węgier, przedstawi na całym Bałkanie upadek hr. Gołuchowskiego jako karę za występowanie przeciw jej roszczeniom. A przecież wśród dzikich ludów Wschodu, jak w klatce lwów, urok powagi i wielkości budzi posłuszeństwo.

Rozbita Przedlitawia, zajęta sporem czesko-niemieckim, kwestyami tak wielkiej wagi jak pytanie, w jakim języku mają być wydrukowane napisy na stacyach kolejowych lub na pocztowych kartach korespondencyjnych, wypuściła ster państwa z rąk, a ujęły go Węgry i prowadzą pod dyktatem swego szowinizmu całą monarchię do zguby. Fakt ten boli nas bardzo.

Nowy ukaz.

W rok po manifeście konstytucyjnym, który zrównał prawa i obowiązki wszystkich mieszkańców państwa rosyjskiego, a w dziesięć miesięcy po zatwierdzonem przez cara orzeczeniu komitetu ministrów, że jednak muszą być utrzymane najbardziej niezbędne rozporządzenia wyjątkowe, pojawił się w sobotę ukaz carski, nakazujący „niezwłocznie" zrównać wszystkich poddanych pod względem praw do służby państwowej, przyczem jednak pozbawiono tego dobrodziejstwa pierwotne ludy syberyjskie, jako wyznające szamanizm, a zupełnie niekulturalne. W orzeczeniu komitetu ministrów, ogłoszonem przed dziesięciu miesiącami, było między innemi powiedziane, że naprzykład Polacy mogą zajmować bardzo wysokie stanowiska państwowe, jeżeli jednak one nie są samodzielne. Polak po dawnemu nie mógł zajmować samoistnego urzędu, musiał mieć nad sobą bezpośredniego kontrolera Rosyanina. W porównaniu ze stanem, trwającym od roku 63-ciego, był to silny zwrot ku sprawiedliwości, ale w porównaniu z tem, co dał manifest konstytucyjny, było owe orzeczenie komitetu ministrów reakcyą. Jednakże pozostało ono martwą literą. W ciągu dziesięciu miesięcy dużo państwowych urzędów w Królestwie, na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i w całej Rosyi obsadzono nowymi ludźmi, ale najmniejszego urzędu nie dano Polakowi. Po dawnemu rodak nasz mógł służyć w kancelaryi rządowej tylko jako dyetaryusz, chociaż nieraz i niejeden z nich był rzeczywistym kierownikiem dykasteryi, a jego zwierzchnik Rosyanin tylko brał pensyę i podpisywał akta. Wyjątkowo na kolejach rodacy nasi zajmowali urzęda wybitne, ale właśnie w ciągu ostatniego roku bardzo wielu ich usunięto, zwłaszcza z kolei Nadwiślańskiej i Poleskiej. Tak manifest konstytucyjny i orzeczenie komitetu ministrów nic w rzeczywistości nie zmieniły. Dały one prawa bez możności korzystania z nich. Powtórzyła się odwieczna rosyjska metoda: dla pozoru, dla popisu przed Europą — bezstronność, a w gruncie rzeczy — systematyczne upośledzanie. A tak było dotąd nietylko przy rozdawaniu urzędów, bo także rekrutów polskich po dawnemu wysyłano na Kaukaz i do Azyi, a naszych przedsiębiorców z zasady usuwano od wszelkich dostaw państwowych, nawet od wydzierżawiania bufetów kolejowych.

Sobotni ukaz nakazuje zmienić to „niezwłocznie". Jeżeli to znaczy, że tym razem po słowie ma nastąpić czyn, to niebawem powinniśmy ujrzeć Polaków na stanowiskach — jeżeli już nie gubernatorów, to przynajmniej naczelników powiatów i sędziów; żołnierze nasi, powoływani właśnie teraz pod broń, pozostaną w kraju, a licytacye na dostawy rządowe w Królestwie będą rozpisywane i rozstrzygane w Warszawie, a nie w Petersburgu i Moskwie.

Ostatni ukaz carski nakazuje wprowadzić „niezwłocznie" inną jeszcze ważną zmianę: podnosi chłopów do stanu obywatelskiego, znosi wyjątkową nad nimi opiekę administracyjną, obala mur, który odgradzał ich od innych mieszkańców państwa. Przed zniesieniem pańszczyzny w r. 1864-ym chłopi nazywali się w Rosyi „warstwą opodatkowaną" (podatnoje sasłowie), bo podczas gdy wszystkie inne warstwy płaciły podatki od [illegible], od ziemi, sklepów, przedsiębiorstw, fabryk i t. d., jedni tylko chłopi płacili pogłówne, z czego wynikało, że nie było chłopa, któryby nie płacił choćby kilku kopiejek, jeśli zaś sam ich nie miał, płaciła zań gmina. Natomiast szlachcic, urzędnik, pop, kupiec nie płacił nic, jeżeli nie miał żadnego zajęcia. Po zniesieniu pańszczyzny nałożono na chłopów różne podatki, jak na innych obywateli, ale pogłównego nie zniesiono aż do tej chwili. Z tego koniecznie musiały wyniknąć różne odrębne przepisy, którym podlegali wyłącznie chłopi. Mieli oni nad sobą „naczelników ziemskich", którzy utrzymywali ich kataster, wydawali im paszporty, odbierali od nich podatki, nakładali na nich administracyjne kary, słowem zajęli względem nich miejsce dawnych właścicieli „dusz ludzkich". Chłop mógł się wykierować na kupca, mógł przebyć wszystkie szkoły i zostać lekarzem, adwokatem, profesorem, lecz jeżeli nie obrał sobie karyery urzędniczej lub wojskowej, to zawsze pozostawał w warstwie chłopskiej (krestianskiej), zawsze co roku musiał brać paszport od „naczelnika ziemskiego" i przynajmniej w teoryi podlegał jego jurysdykcyi. Za jednakowe przekroczenia niechłopi byli sądzeni przez sędziów pokoju, a chłopi przez naczelników ziemskich. Rzecz naturalna, że było w tem nietylko upośledzenie ludu, ale było także bezbrzeżne pole do nadużyć i wyzysku. Stanowisko naczelnika ziemskiego, który brał pensyi z dodatkami na rozjazdy i kancelaryę tylko 3.000 rubli, stało się lukratywnem. Oficer gwardyi, który strwonił majątek, zbankrutowany arystokrata, bardzo zasłużony urzędnik — wszyscy oni dobijali się urzędu naczelnika ziemskiego. Każdy z nich z reguły nabywał na kredyt wioskę (bo zresztą obowiązkowo musiał mieszkać na wsi, w środku kilkunastu gmin, podległych jego władzy) i rolę swą uprawiał chłopami, których skazywał na areszt przy swej kancelaryi. On zbierał rekrutów, on rekwirował konie do wojska, miał pod swym kluczem magazyny zboża gminnego, składanego przez chłopów na wypadek głodu, naprawiał drogi kosztem funduszów gminnych, zatwierdzał wszystkie kontrakty między chłopami a osobami z warstw innych, parcelował ziemię szlachecką, którą chłopi na spółkę nabyli przy pomocy banku włościańskiego, — aby za[illegible] pozwolenie, albo go odmawiał — słowem był królikiem, feudalnym panem na kilkunastu wioskach. Oczywiście, aby się utrzymać na takiej posadzie, niedość było mieć szerokie plecy, trzeba się jeszcze było opłacać. Więc naczelnik ziemski darł chłopów dla siebie, darł także dla innych. Radykalizm chłopski, który się tak dosadnie uwydatnił wybraniem do dumy państwowej trudowików, wyrobił się głównie przez to, że lud wiejski zamknięty był w odrębnej kaście, zarządzanej przez naczelników ziemskich.

Otóż sobotni ukaz cara nakazał znieść to wyodrębnienie, zrównał chłopów z innemi warstwami pod względem praw cywilnych, zburzył mury chłopskiego ghietta. To rzeczywiście jest ważna zmiana na lepsze.

Jerzy Clemenceau.

Ciekawa osobistość staje na czele rządu francuskiego, niezaprzeczenie najciekawsza ze wszystkich, jakie w ciągu 35-ciu lat istnienia trzeciej republiki zajmowały fotel prezydenta gabinetu. W różnych czasach jego politycznej karyery różne dawano mu przezwiska. Kiedy Francya ciężko walczyła z przemożnemi siłami Niemiec, a w Paryżu szalała komuna, młody lekarz Jerzy Clemenceau, wandejczyk rodem, był komunistą, w mieszkaniu swojem miał skład bomb dynamitowych i wśród rewolucyonistów zażywał ogromnej powagi, porywał wzburzone tłumy wymową, hypnotyzował je czarnemi oczami, które co chwila rzucały to ponure, to znów szyderskie błyski. Już wtedy znany był w całej stolicy z tego, że kiedy komunardzi chcieli na Montmartre rozstrzelać jenerałów Thomasa i Lecomta, on z ogromną furyą stanął w ich obronie i mówił spokojnie, chociaż ku niemu skierowano karabiny. Mówił długo, ogniście, czarował słowami, a potem zaczął szydzić z tych, którzy go na cel wzięli, i tak zjadliwie szydził, że oni, porzuciwszy karabiny, jęli go okładać pięściami. Zbity był okrutnie i ciężko to odchorował, ale temu wypadkowi zawdzięcza swe życie, bo wojska wersalskie, które nad komunardami czyniły sąd i rozprawę, jego ominęły. W sześć lat potem 35cio-letni Clemenceau był już deputowanym, zasiadł na ławach skrajnych radykalistów, niebawem dobrał sobie sporo barw socyalistycznych, pisał jednocześnie w rewolucyjnej gazecie *Justice* i obrał sobie oryginalną specyalność obalania gabinetów. Przezwano go wtedy „małym kałmukiem", a bano się jak ognia. Zdarzało się, że mówił: „Dziś przepędzę ministrów" i rzeczywiście, wchodził na trybunę, piorunował z niej, szydził, ośmieszał, a wreszcie wzywał izbę, aby wyraziła gabinetowi nieufność i nigdy się nie zdarzyło, żeby większość nie poszła za jego wolą. Tak obalił Ferryego i Cavaignaca, i Boulangera i wielu innych, ale sam nigdy nie chciał przyjąć żadnej teki. On rozwałkował aferę Wilsona, która skończyła się dymisyą Grévy'ego. Bano się go i nienawidzono. Ten człowiek podobny był siłą zniewalania ludzi do Dantona i gdyby żył w czasach wielkiej rewolucyi, byłby posłany na gilotynę tak samo, jak Danton, po prostu dlatego, że się go bano. Ale trzecia republika ma zamiast gilotyny intrygę i paszkwil. W r. 1892-gim może on jeden niesłusznie był wplątany w skandal panamski i najtrudniej przyszło mu wyplątać się z tej brzydkiej sieci. Przed swymi wyborcami rozłożył rachunki tapicerów, meblarzy, notaryuszy na dowód, że majątku nie posiada i że córce nie dał posagu. Wyszedł znękany cało, ale tylko na rok, bo w r. 1893-cim oskarżono go o branie subwencyi od Anglii. Obarczony tym zarzutem, na owe czasy bardzo ciężkim, znowu stanął przed wyborcami, aby się oczyścić, lecz kiedy głos zabrał, całe zgromadzenie huknęło: „Mów po angielsku!" — więc zmieszał się, zamilkł i opuścił trybunę. Od tej chwili na pełnych lat dziesięć usunął się od działalności poselskiej, pracował wyłącznie jako dziennikarz. Przyszła sprawa Dreyfusa. W niej Clemenceau odrazu stanął po stronie wygnańca na wyspę Dyabelską i w swym dzienniku *Aurore* wytrwale, a z zapałem domagał się rewizyi procesu. Jedni się wahali, inni zniechęcali, on wciąż trwał na obranem stanowisku. Skończyła się męka Dreyfusa, skończyła się także może niezasłużona pokuta Clemenceau: ten sam okręg, który w r. 1893-cim odebrał mu mandat, oddał mu w r. 1902-gim godność senatora. Odtąd Clemenceau już nie obalał gabinetów, lecz jako radykalista z domieszką socyalizmu poświęcił całą swą energię najpierw walce z oficerami, usposobionymi monarchicznie, potem walce z zakonami religijnymi, a wreszcie sprawie separacyi kościelnej. W tych sprawach szedł ręka w rękę z ówczesnym prezydentem senatu, a teraźniejszym prezydentem republiki Fallièresem, — na jego też prośbę wstąpił do gabinetu Sarriena jako minister spraw wewnętrznych. Na tem stanowisku rozwinął taką energię, że gabinet Sarriena poczęto nazywać gabinetem Clemenceau. Przeprowadził wybory do parlamentu nadzwyczaj pomyślnie dla radykałów, uspokoił Bretanię i Wandeę, wzburzone z powodu opisywania kościołów, załagodził olbrzymi strejk węglarzy w departamencie du Nord, przyczem się poróżnił z wodzami socyalistów, zarzuciwszy im publicznie, że „stworzyli religię socyalistyczną i są jej kapłanami, a o dobro robotników nie dbają i dbać nie mogą, bo zniknęłaby ich religia". On też pierwszy miał odwagę rzucić rękawicę syndykatom robotniczym. „Wszystko możliwe dla robotników — nic dla was, mości jenerałowie proletaryatu!" — zawołał z parlamentarnej trybuny do socyalistycznych deputowanych. Ruchliwy nadzwyczajnie pomimo, że ma już 65 lat, wciąż jeździł od wiosny po Francyi, wygłaszał mowy, wpadał do Paryża tylko na posiedzenia gabinetowe i na nich mieszał się do wszystkiego: do nominacyj ambasadorów i na tym punkcie poróżnił się z ministrem spraw zagranicznych Bourgeois; do spraw oświaty, finansowych, wojskowych, marynarskich i handlowych. Więc też wszystkich tych spraw ministrowie w gabinecie Sarriena chcą teraz razem z nim ustąpić, a jak się zdaje, Clemenceau wcale nie myśli prosić ich, aby zostali. Podobno zawezwie do gabinetu swych redakcyjnych kolegów. Będzie to zupełnie w jego stylu. Ten czerwony radykał jest nawskróś despotą, nie znosi towarzyszy, chce mieć tylko podwładnych, tylko narzędzia swej woli.

Wreszcie i to zasługuje na zaznaczenie, że ten człowiek z temperamentem trybuna i dyktatora zupełnie się dostraja do teraźniejszego położenia Francyi: jest zawołanym zwolennikiem sojuszu z Anglią, a z Berlinem nigdy nie wchodził w żadne stosunki, bawił wprawdzie w tem mieście przed rokiem, ale jako zwyczajny podróżnik.

Korespondencye.

Wiedeń 20 października.

(Brak wagonów na kolejach austryackich. — Co jest jego powodem? — Zatrzymywanie austryackich wagonów przez kolej włoskie. — Deputacya właścicieli realności u ministra Korytowskiego. — Opadnięty kat.

(y). Sprawa braku wagonów towarowych na kolejach austryackich, stanowiąca stałą rubrykę skarg i żażaleń w dziennikach, była przedmiotem ożywionej dyskusyi na jednem z z ostatnich posiedzeń komisyi kolejowej. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się z ust ministra kolejowego dra Derschatty, że pominąwszy już to, iż park przewozowy austryackich kolei jest wogóle za mały, jedną z głównych przyczyn braku wagonów jest ta okoliczność, że skoro jaki wagon dostanie się z ładunkiem towarowym na linie zagraniczne, to wprost niepodobna go stamtąd napowrót wydostać, bo zarządy zagranicznych kolei, zamiast — jak przepisuje regulamin — odesłać taki wagon bezzwłocznie najkrótszą drogą do miejsca skąd przyszedł, używają go miesiącami całymi dla przewożenia własnych przesyłek towaro-

2)

Feljeton literacki.

E. Jeleńska. *„Obrączka"*. Powieść. Warszawa.

(Ciąg dalszy).

Jak z tego widzimy, młoda ta osoba jest bardzo egzaltowaną, ma fantazyę niesłychanie rozwiniętą, uczucie bardzo wysubtelnione, a zarazem za mało poważnej wiedzy, mogącej być przeciwwagą dla wyobraźni zbyt lotnej. Więc też dążenie do osiągnięcia wymarzonych ideałów daje tej młodej osobie o wiele więcej rozkoszy duchowych, aniżeli samo ich zdobycie. Póki pragnęła być doktorem filozofii, czuła się ogromnie szczęśliwą, że na uniwersytet chodzi, gdy raz została nim, lekceważy i swój doktorat i całą filozofię, widzi tylko śmierć przed sobą i rozpacza. Na szczęście przyszedł do niej jeden z jej kolegów, niejaki Wiktor. „Spokojnie powiesił kapelusz na wieszadle, ciupagę w kącie postawił, i stanął przedemną — pisze autorka, — Spojrzeliśmy sobie w oczy. Odrazu przejrzał mnie nawskróś.

— O! cóż to? — rzekł cicho — dyabliki czarne latają?

Przysunął sobie krzesło, usiadł bliziutko, i wziął obie moje ręce.

— No? — spytał z poczciwym uśmiechem.

— Abo... na co mi to wszystko! — wyrwało mi się prawie z płaczem. — Co mi z tego głupiego patentu, co mi z tego! Wszystko już się skończyło. I teraz co?

— Jak to co? Teraz żyć trzeba.

— Na co? Po co? Dla kogo?

— Ach, wy baby! baby! Nic wam i doktoraty i filozofie nie pomogą! Wy się najprzód zawsze pytać będziecie, dla kogo macie żyć. A dla czego, to nie?

— Eee!

— Pani, co ma talent...

— Dałby mi pan pokój z tym talentem! Ja nic o nim nie wiem jeszcze. Nie wiem, czy go wogóle mam. Któż to powiedział, że mam talent? Pan i Czerwony. Wielcy mi sędziowie.

— Pani mówi mi impertynencye, aby módz się pokłócić. Ale niedoczekanie! Nie mam na to czasu, bo muszę panią zabrać i przyprowadzić do cioci Buzi, gdzie czekają...

— Kto czeka? Ja nigdzie nie pójdę.

— Nie cierpię kiedy panna Hania grymasi, jakby jaka hrabina. Proszę zaraz włożyć kapelusz i idziemy.

Wziął z łóżka mój kapelusz i próbował mi go na głowę włożyć.

— A któż tam będzie?

— No, cała paczka. Niedźwiedź, Czerwony Poeta, Benda i Kuliszyński, „Budowniczy Solness", panna Tola ze swemi feministkami i już nie wiem kto. Mówię, że cała paczka. Będzie bardzo wesoło. No, panno Haniu, prędzej. Proszę zrobić przyjemny wyraz twarzy, i, do licha! przypiąć raz ten kapelusz.

— Żeby pan wiedział, jak mi źle. — Wstałam jednak i zaczęłam się zbierać.

Wyszliśmy. Ulice były ciche, puste i zasnute już cieniami wieczoru. Pod drzewami plant było prawie ciemno. Mnie melancholia wprawdzie nie opuściła jeszcze, ale czułam ulgę w obecności Wiktora, tego najlepszego przyjaciela, przed którym myśli skrytej nie miałam.

Zaczęłam znowu.

— Bo, widzi pan, ja doprawdy nie wiem, co robić teraz? Mam już ten patent nieszczęsny, a dalej co?

— Dalej? Ja zawsze powtarzam: niech pani osiądzie np. tu gdzie pod Krakowem i niech pani pisze. Ja to seryo mówię. Że pani ma talent, to pewno, ale trzeba dla niego coś zrobić, trzeba mu dać odpowiednie otoczenie, to się dopiero rozwinie.

— Osiąść tu? Nie wracać na Litwę? Ach, nie wiem, czyby to było dobrze...

— Dlaczego?

— Bo... Ach, mój Boże! przecie pan wie, co ja myślę. Ja myślę, że trzeba wracać do kraju... To niedobrze tak uciekać z tamtych stron. Tu i tak jest ognisko i bezemnie się obejdzie... A tam... ach, tam nic, nic! Ja sama nie wiem... Pan się zawsze śmieje, ale ja myślę, że to obowiązek.

Wiktor rzucił się niecierpliwie.

— A no, jak pani na teren obowiązków wjeżdża, to proszę z kim innym gadać. To nie moja specyalność. Dla mnie najpierwszy obowiązek, to talent, sztuka, piękno, własna indywidualność, moje ja, które chce się wypowiedzieć. Reszta dobra dla mydlarzy, gwiżdżę na resztę.

— A ja nie. I nawet nie wiem, co ważniejsze... jak być powinno.

— Ja nie pytam o to, co być powinno. Ja pytam o to, co jest. O to, co mnie niesie, co mnie pchnie naprzód. Nie wiem, czy to być powinno, ale jest. To dosyć.

— Ach, panie Wiktorze! czy dosyć? — Znałam od dawna jego zapatrywania w tym względzie i nie raz już staczałam z nim o to zażarte walki. Lecz teraz szczególniej mi chodziło o wylanie na zewnątrz myśli, które mnie gnębiły. Wszakże i sama nie byłam tak zupełnie pewną swego, — chciałam dyskusyi. — Bo, widzi pan — ciągnęłam dalej — ja myślę, że są na świecie rzeczy ważniejsze od sztuki...

— Tak! tłusta pieczeń i miękkie pantofle — mruknął.

— Zwłaszcza u nas, panie Wiktorze. I że jeśli się zdobyło pochodnię do ręki, to trzeba nią przyświecać takim kątom, gdzie mrok panuje.

— Aż mrok pochodnię zgasi i będzie po wszystkiem.

— O, nie! — I nagle porwała mię fala siły, męstwa, pewności siebie, melancholia odleciała gdzieś na krańce świata, poczułam się niezwalczoną. Nie, nie zgaśnie moja pochodnia! Pójdę z nią w mój kraj biedny i wysoko trzymać ją będę ponad głowami tych, co są w ciemnościach. Niech będzie światło! Niech będzie ciepło! I rozwidnią się ciemne kąty i rozpalą się inne pochodnie i ogniska się rozniecą, ciepłe, ożywcze. A talent? Talent, jeśli go mam, będzie właśnie najżywszym płomykiem w tem ognisku.

— Wymieni go pani wkrótce na korzec węgli do podpalenia w tym społeczno-patryotycznym piecu.

— Nie! Nie! — Jeżeli go mam to nie zginie. A świat, ludzie, naród, dobro, czyn, oto co jest największego! Pchnąć naprzód bryłę świata, to dopiero robota. No, nie?

— Zdaje mi się, że pani robi literaturę — rzekł zimno Wiktor.

— A pan jest wstrętny — odparłam ze złością — i nie rozumiem doprawdy jak ja mogłam choć przez chwilę być z panem w przyjaźni. Odeszłam na drugą stronę ulicy i już więcej nie mówiliśmy do siebie.

W ogródku cioci Buzi, gdzieśmy się często latem zbierali, powitało nas grono już rozweselone i wieczór zszedł na bardzo ożywionej gawędzie.

Ja, po całodziennem melancholizowaniu, czułam potrzebę reakcyi. śmiałam się, dowcipkowałam, rzucałam paradoksami, nawet flirtowałam po trochu z Czerwonym Poetą, który już zdawna beznadziejnie we mnie się kochał. I tak byłam miła dla wszystkich, że nawet Niedźwiedź raczył nad moim wyjazdem rozpaczać.

Wyjechać zaś miałam w nadchodzący czwartek, a w wilią na herbatę wszystkich do siebie zaprosiłam.

— Będzie to pożegnanie Górki — westchnęła jedna z feministek.

— I „discipliny minor" — rzekł Kuliszyński.

— Pannę Hanię jeszcze do grobu nie składamy — wtrącił Niedźwiedź — a Górka przepadła na wieki.

— Oj, bodaj, że naszą pannę Hanię na wieki żegnamy — rzekł Wiktor trochę smutnie, a trochę zjadliwie.

Umilkli wszyscy i jakiś cień nad nami przeleciał.

Aż Poeta Czerwony, który coś w cieniu mruczał sobie pod nosem, wysunął się na światło ze szklanką piwa w ręku i zabrał głos:

— Opowiem państwu bajkę. Za siedmiu ulicami, za siedmiu placami, wznosi się niebotyczna góra. Góra to bogata, herbatodajna i serdelkopłodna, dymem z papierosów buchająca i dysputami dzwoniąca. Na tej górze żyła sobie studentka, nie studentka, panna, nie panna, królewna, nie królewna — Cud-Dziewica! U stóp jej klęczeli młodzianie — studenty, malarze, poety, doktory, klęczeli i błagali: Cud-Dziewico, pokochaj nas! Lecz dziewica powiada: Odczep się, paskudny męski rodzie! Nie potom z domu się rwała, do Krakowa uciekała, na wszechnicę uczęszczała, aby do waszej miłości się zniżać. Jam mądrości głodna, filozofii córa godna, nic mi po waszych wzdychaniach! Będę po obłokach bujała, a serca wasze deptała. Młodzieńcy się popłakali, dyscypliną ją nazwali. Lecz ona ich odprawiła, w nauce się pogrążyła, to też patent wnet zdobyła, laurem skronie swe owiła i do domu wraca. Młodzianom łzy z oczu płynęły, a tak obficie płynęły, że aż Wisła wezbrała, straszna powódź nastała. A tymczasem Cud-Dziewica do domu powraca. Jedzie, jedzie, nie dzień i nie dwa, przez góry wysokie, przez lasy szerokie, przez rzeki głębokie. Przyjechała, ojca swego powitała, wkoło siebie popatrzyła i mówi: co ja tu będę robiła? A ojciec się odzywa: Nie frasuj się moje dziecię, kawalerów dość na świecie. Wybiorę ci pięknego, bogatego, dobrze urodzonego i pobłogosławię was. Jak powiedział, tak się stało, zjechało się kawalerów nie mało. Wszyscy zdrowi, tędzy, syci, ludzie całkiem przyzwoici. Cud-Dziewica jak spojrzała, wnet jednego pokochała, największego, najtłustszego, obywatela tęgiego. Przed nim staje, rączki składa i czułym głosem powiada: Oto luby, jestem twoją.—Cud-Dziewico, dzięki tobie! lecz cóż z twą mądrością zrobię? Obie razem brać za ciężko. A Cud-Dziewico tak rzecze: Jestem ciałem twego ciała, na nic mi się filozofia zdała! Jestem twojej kości kością, a więc, luby, precz z mądrością! Jako rzekła, tak się stało. Ojciec młodym błogosławił i wesele wnet wyprawił. I ja tam byłem, wino, miód piłem, po brodzie ciekło, a w gębie nic nie było. I podłem piwskiem muszę wznieść zdrowie Cud-Dziewicy, naszej panny Hani!

(Ciąg dalszy nastąpi).

wych. Najgorzej postępują pod tym względem koleje włoskie. One stale przetrzymują u siebie co najmniej tysiąc wagonów austryackich i głuche są na wszelkie prośby i groźby. Nadużycia popełniane w tym względzie są tak rażące, że np. nawet w takich prowincyach włoskich, z któremi Austrya nie utrzymuje prawie żadnego obrotu handlowego, jak np. w Kalabryi, znaleść można zawsze znaczną liczbę wagonów austryackich. Minister zapowiedział, że jeżeli koleje włoskie nie zmienią swego postępowania, w takim razie zarząd austryackich kolei państwowych będzie musiał chwycić się chyba tej ostateczności, że nie puści żadnego swego wagonu do Włoch, lecz w nadgranicznej stacyi każe przeładowywać jego zawartość do włoskich wagonów.

Także niemieckie koleje, chociaż uposażone są o wiele bogaciej w środki przewozowe od austryackich, wysługują się jednak jak mogą wagonami austryackimi, co okazuje się najlepiej z corocznych obrachunków. Wedle bowiem obowiązującej umowy, jeżeli kolej niemiecka za zgodą austryackiej kolei zatrzymuje jej wagon, to ma zapłacić za to należytość 1 markę za każdy dzień, tudzież 1 fenik za każdy kilometr przebytej drogi, a taką samą należytość mają płacić koleje austryackie za używanie wagonów niemieckich. Owóż według obliczenia za rok ubiegły, zapłaciły koleje austryackie kolejom niemieckim za używanie ich wozów 80.000 marek, natomiast otrzymały od kolei niemieckich za używanie wozów austryackich z górą pół miliona marek. A zatem niemieckie koleje zatrzymują przeciętnie sześć razy tyle wagonów austryackich, co austryackie koleje niemieckich. Przytem należy uwzględnić tę okoliczność, że pruskie koleje państwowe mają przeszło 360.000 wagonów towarowych, a austryackie tylko 50 tysięcy. I jakże wobec takich stosunków nie ma być braku wagonów w Austryi!

Z Włochami nie ma osobnej umowy co do wzajemnego używania wagonów i tylko wytworzyła się poniekąd zwyczajowa praktyka na podstawie umowy obowiązującej z kolejami niemieckiemi. Owóż ponieważ koleje austryackie zasadniczo odmawiają zezwolenia przetrzymywania swych wagonów na liniach włoskich dłużej nad przepisany termin, t. j. przez tyle dni, ile potrzeba do odbycia drogi do miejsca przeznaczenia, licząc po 100 kilometrów dziennie, tudzież ponadto jeszcze jeden dzień na wyładowanie towaru — przeto włoskie koleje płacą przewidzianą w umowie austro-niemieckiej grzywnę za niedozwolone używanie cudzych wagonów, a mianowicie 5 marek dziennie od wagonu, i nie troszczą się o resztę. Gdyby austryackie koleje państwowe były przedsiębiorstwem, trudniącem się wypożyczaniem wagonów, to możeby się im to opłaciło, ale wobec tego, że w kraju taki brak wagonów towarowych, że wielu fabrykantów skarży się, iż nie może należycie pracować, bo koleje nie dostarczają im na czas węgla, takie postępowanie zagranicznych kolei jest dla sfer handlowych i przemysłowych Austryi wysoce krzywdzące.

Onegdaj była u ministra finansów dra Korytowskiego deputacya związku stowarzyszeń właścicieli realności i prosiła go o jak najrychlejsze wniesienie tak gorąco przez wszystkich właścicieli domów upragnionego projektu rereformy podatku domowo-czynszowego, który dziś jest najuciążliwszym ze wszystkich istniejących podatków. Dr. Korytowski przyrzekł, że odnośny projekt ustawodawczy wniesiony zostanie w izbie na wiosnę i że przedtem zwołana zostanie dla tej sprawy osobna ankieta, do której przedewszystkiem zaproszeni zostaną przedstawiciele właścicieli realności. Nadto rzekł minister, że zamiarem jego jest oprzeć reformę podatku domowo-czynszowego na skontyngentowaniu go. Mianowicie ustanowiona być ma, podobnie jak to ma miejsce przy podatku gruntowym, suma, jaką podatek domowo-czynszowy ma przynieść państwu, a to, co wpłynie ponad tę sumę, obrócone zostanie na zniżenie podatku domowo-czynszowego w roku następnym.

Szajka drabów opadła wczoraj na głównej ulicy Simmeringu kata wiedeńskiego Langa i chciała go obrabować. Jeden z opryszków chwycił za złoty łańcuszek od zegarka, usiłując go wydrzeć, pan Lang jednak okazał się silniejszym, chwycił bowiem opryszka za kark, powalił na ziemię i trzymał tak długo, aż nadbiegł policyant i aresztował go. Jestto 32-letni czeladnik blacharski Feliks Bernhard. Notując ten wypadek, dodają dzienniki żartem, że może jeszcze opryszek ten będzie miał kiedyś sposobność zawrzeć bliższą znajomość z opadniętym katem.

Wypadki w Rosyi.

Kijów. Na posiedzeniu związku prawdziwych Rosyan uchwalono zwrócić się do cara z prośbą, aby wydał nową ustawę w duchu narodowym, w której żydzi byliby wykluczeni od prawa wyborczego. Wyrażono życzenie, aby duma miała tylko charakter doradczy.

Petersburg. W interviewie z redaktorem *Now. Wrem.* oświadczył prezydent ministrów Stołypin, że duma faktycznie zbierze się 4 marca przyszłego roku. Po zbadaniu ustaw wyborczych przez senat nie będzie żadnych trudności w tym kierunku. Ogłoszenie równouprawnienia ludności wiejskiej podziała prawdopodobnie uspokajająco i przekona wszystkich, że rząd rzetelnie pragnie przeprowadzić swój program. Rząd nie podda się wpływowi żadnego stronnictwa.

Petersburg. Petersburska Ajencya telegraficzna upoważniona jest do stwierdzenia, że pogłoska o rzekomych zabiegach rządu rosyjskiego około uzyskania nowej pożyczki za granicą, jest zupełnie bezpodstawna. Tem samem nieprawdziwem jest doniesienie, jakoby dom Rotschildów zajął stanowisko odmowne, gdyż ani temu, ani żadnemu innemu bankowi zagranicznemu nie czyniono takiej propozycyi.

Petersburg. Dnia 25 b. m. zbierze się w Petersburgu kongres zastępców przemysłu z całej Rosyi. Kongres ma obszerny program pracy i będzie dążył do tego, aby w dumie były także reprezentowane interesa przemysłowe, a nie, jak dotąd, wyłącznie tylko agrarne.

Petersburg. Na Newskim prospekcie koło mostu Aniczkowa, porucznik omskiego pułku napadł wczoraj wieczór z dobytą szablą na pewnego pułkownika, a następnie usiłował w dorożce uciec. Na tłum, który go zatrzymał, rzucił się ów porucznik z bronią w ręku. Zdołano go wreszcie uwięzić. Powody tego czynu są nieznane.

Petersburg. Wczoraj spuszczano na wodę nowy pancernik „Andrej Pierwozwannyj", największy z pancerników rosyjskich. Liczy on 17.400 ton pojemności, ma szybkość 18 węzłów, a cztery jego ruchome wieże pancerne mają 12 dział 12- i 8-calowych. Prócz tego statek uzbrojony jest w 12 innych dział 120- i 75-milimetrowych i w 3 3-liniowe karabiny maszynowe.

Władywostok. Rosyjski parowiec „Warjagin", który wczoraj wypłynął z tutejszego portu, najechał na torpedowiec i zatonął. W falach zginęło 200 podróżnych.

Futra prawdziwe i fałszowane.

Ceny futer podnoszą się ustawicznie od pewnego czasu, co rok niemal, o 10%. Przyczynę tej nagłej zwyżki łatwo zrozumieć wobec faktu, że w roku ubiegłym wywieziono na wszechświatowy rynek futer do Londynu, 18.433 skórek rosyjskich sobolów, gdy w roku 1902 wywóz wynosił 33.555 skórek. Rok zeszły był wyjątkowo niepomyślny, lecz wogóle łowy przynoszą plon coraz mniejszy. Zwierzęta, obdarzone kosztownemi futrami, ścigane przez wpół dzikich traperów, cofają się coraz głębiej w kraje niezamieszkałe i tam giną z głodu. Próby hodowania ich w olbrzymich lasach zamkniętych i żywienia regularnie okazały się bezskutecznemi. Zwierzęta chorują i padają, a ich skóry tracą połysk, kolor i tem samem i wartość. Ma się rozumieć, zwyżka ceny futer spowodowała mnóstwo imitacyj: jedne sprzedawane są uczciwie i otwarcie, jako naśladownictwa, inne puszczane są pod flagą autentyczności. Nabywcy stali się nieufni. Dziwić się temu nie można, zwłaszcza, że i kupcy bywają nieraz oszukiwani przez dostawców, gdyż niejeden z nich zna się na futrach tyle, co nabywająca je dama.

Często jednak klientka sama jest winną: chce być oszukaną. W uczciwym magazynie dowiaduje się, że niepodobna kupić prawdziwego futra za pieniądze, które ona chce dać lub dać może; szuka tańszych sklepów, aż wreszcie znajdzie taki, w którym pomogą jej łudzić się, że nabyła kołnierz z prawdziwych lisów czarnych, gdy w istocie są to zwyczajne, farbowane. Niebezpiecznie też kupować w podróży. W miejscach, nawiedzanych licznie przez cudzoziemców, kupiec wie, że turysta będzie już daleko, zanim się przekona o swej omyłce. Najczęściej oszukiwani są podróżni w Syberyi, oraz Chinach północnych, gdzie chcą, przy sposobności, zaopatrzyć się w futra piękne i tanie. Gdy powróciwszy do miejsca stałego zamieszkania, podróżny przedstawi swój nabytek do oceny rzeczoznawcy, dowiaduje się zwykle, że futro nie warte było kosztów przewozu.

Po wojnie chińskiej w roku 1894, a później po wzięciu Pekinu w r. 1900, duże transporty futer pojawiły się w handlu, przywiezione przez uczestników walki. Był to jednak po większej części owoc rabunku, skóry źle ufarbowane, nawpół zjedzone przez mole. Znajdowały wszelako nabywców. Ze względu na ich egzotyczne i romantyczne pochodzenie, płacono je drogo, podczas gdy w dobrych magazynach można było dostać lepszy towar za tańsze pieniądze. Przy nabywaniu futer należy się trzymać jedynego pewnego sposobu: udawać się do pierwszorzędnych sklepów.

Falsyfikaty polegają na „upiększeniu" skór gorszych, ale autentycznych, oraz na podrabianiu i podsuwaniu falsyfikatów. Najłatwiej można się oszukać, kupując najdroższe gatunki, mianowicie syberyjskie sobole. Jeśli zapytamy rzeczoznawcy, jak odróżnić prawdziwą skórę od fałszowanej, odpowie:

— Niema na to teoryi. Potrzeba mieć doświadczenie. Wytrawny palacz odróżni cygaro hawańskie od najdroższego krajowego. Nie zależy to od koloru, od pudełka, od obrączki, które mogą być wybornie naśladowane. Różnica polega na — smaku. Przy rozróżnieniu futer sędziami są dwa inne zmysły: wzrok i dotyk.

Lecz istnieją pewne elementarne wskazówki, po których można poznać falsyfikat.

Naprzykład: złóżmy prawdziwą skórę lisa, albo sobola, włosem na wierzch, jak serwetę i, trzymając ją za rogi, przyjrzyjmy się włosowi pod słońce. Zobaczymy wtedy, że wierzchnia warstwa jest ciemniejsza od spodniej. Uwidocznia się to tak samo w prawdziwych, jak i farbowanych futrach, ale w pierwszych ta linia demarkacyjna nie jest równa: jeden włos zaczyna ciemnieć wyżej, drugi niżej. Że zaś niepodobna farbować każdego włoska pojedyńczo, więc w futrach farbowanych ta linia jest regularna, a włosy dzielą się na dwie wyraźne smugi, mało odznaczone; w futrach prawdziwych linia demarkacyjna jest falistą i nieregularną.

Druga próba polega na wyrwaniu kilku najciemniejszych włosów i zanurzeniu ich w jakim silnym kwasie. Prawdziwy sobol pojaśnieje o parę tonów, ale koloru zasadniczo nie zmieni; włos farbowany, pod wpływem kwasu, stanie się pomarańczowo-purpurowym, a niekiedy zielonym.

Zdarza się, że futra nie są farbowane, a jednak stanowią falsyfikat.

Skóry zajęców, królików mogą łatwo uchodzić za gronostaje, ale dla rzeczoznawcy wystarcza chuchnąć na futro i przeciągnąć po niem ręką, aby poznać, czy jest prawdziwem, czy podrabianem.

Niektóre falsyfikaty każdy odróżnić może. Fałszerze nie zadają sobie trudu i używają tak złego materyału i tak lichej farby, że skóra staje się ciemniejszą niż włos, a niższa warstwa futra nie jest tak jasną jak w futrach prawdziwych. Chcąc nabyć dobrą imitacyę, należy się udać do porządnego sklepu i wręcz powiedzieć czego się pragnie.

Nurki są same przez się pięknem futrem, ale często bywają sprzedawane jako sobole. Właściwością prawdziwego sobola jest jakby niebieskawy obłoczek, matujący połysk. Zdawałoby się, że można go zdmuchnąć, tak jest przeźroczysty.

Sealskin łatwiej się da podrobić od sobola. Piżmowiec może być tak spreparowany, że i znawca nie odróżni go od *sealskinu*, zwłaszcza w żakiecie gotowym. Taki żakiet kosztuje dwadzieścia razy taniej od prawdziwego. Ale o dobry falsyfikat trudno; zwykle warstwa dolna ma barwę niebieskawą, zamiast brunatnej. Zresztą skóra piżmowca jest daleko mniejsza od *sealskinu*. Jeśli się nie kupuje w znanym sklepie, trzeba obejrzeć skórki od spodu. Po szwach można poznać, czy są duże lub małe. Nieraz mniejsze, fałszywe, bywają wstawiane pomiędzy większe, autentyczne, a imitacye szyte krytym ściegiem tak zręcznie, że go wcale nie znać.

Ma się rozumieć, sprzedaż fałszywego towaru za prawdziwy jest ścigana, jak każde oszustwo. Jeśli się chce być zupełnie pewnym, trzeba żądać pokwitowanego rachunku, albo tak sobie począć jak pewien bogacz kolonialny, który, przybywszy do Londynu, nabył tam bardzo kosztowne futro. Po kilku dniach dowiedział się, że to falsyfikat. Natychmiast pojechał do sklepu, zażądał kwitu z wymienieniem futra i sumy zań otrzymanej. Kupiec wzdragał się uczynić temu żądaniu zadość. Wtedy nabywca oświadczył, że póty nie wyjdzie ze sklepu, dopóki nie otrzyma zwrotu swoich pieniędzy. No, i otrzymał.

Sens morału taki, że kupując wszelkie futra — farbowane, również jak i prawdziwe — trzeba być bardzo ostrożnym.

Mały feljeton.

MYŚL.

Na niedosiężnych skał urwiska
Rwij się o myśl człowiecza!
Niech gdzie piorun, sto słońc błyska,
Piorun krwawą skrę ciska,
Niech błyskawic łańcuch złoty,
Archaniołów jasne roty,
W tryumfalnym dźwięku miecza
Niosą wieść, co orłem wzlata
Hen! gdzie ziemia we mgłach drzemie,
Że w płomieniach — w iskier dymie
Idzie tytan, mocarz świata.
Tytanowi Myśl na imię.

Świta —
Tam gdzie ziemia w mrok spowita,
Tam jutrzenka dzień już wita:
Świta.

Czy słyszycie?
Gdzieś daleko
O granity biją młoty,
I kurzawa iskier bucha.
To po wiekach łez, tęsknoty,
Nową drogę Myśl w błękicie
Dla ludzkiego kuje ducha.
Trysnął z nieba płomień złoty,
Blask zaświecił w ziemskim pyle,
Lecą srebrne gwiazd motyle,
I stanęła w ogniu tęcza
Na jasnego kształt obręcza;
Zespoliła z niebem ziemię,
Z aniołami ludzkie plemię.
To przymierze Bóstwa święte,
Co zabłyśnie światłem nowem,
Kiedy będzie już pojęte
W ukochania skarb zamknięte
To, co dzisiaj tylko słowem;
Gdy umilknie młot miłości,
Którym drogę dla ludzkości
Myśl wykuwa na granitach,
Gdy duch ludzki na jej szczytach
Stanie w Piękna boskiej zorzy
I przed Prawdą się ukorzy.

Aniela Glogierówna.

Balon hr Zeppelina.

(Zapatrywania kół fachowych).

Przed kilku dniami doniosły nam telegramy o sukcesie, jaki odniósł hr. Zeppelin w Niemczech, produkując się publicznie wynalezionym [illegible] to tu przypomnieć historyę wysiłków tego dzielnego myśliciela, czynionych około swego wynalazku, nadzieje jego i gorzkie zawody, jakie go kolejno nawiedzały.

Gdy przed kilku laty pierwsza próba hr. Zeppelina, aby w wynalezionym przez siebie balonie wznieść się w górę i tam dowolnie nim kierować, nie udała się, pogrzebano go zupełnie w niepamięci. Ci, którzy wspomagali go w jego śmiałem przedsiębiorstwie udziałem pieniężnym, mieli doń żal ze względu na stratę materyalną; nie baczono zaś na to, że hr. Zeppelin swój własny majątek całkowicie tej sprawie poświęcił i dopiero wtedy zaapelował do hojności społeczeństwa, gdy jego środki się wyczerpały.

Od owego czasu zanotowała historya trzy ważne sukcesy w dziedzinie aeronautyki. Najpierw udałą jazdę powietrzną, której dokonał Brazylijczyk Santos Dumont i otrzymał za nią nagrodę w kwocie 100.000 franków, wyznaczoną przez francuskiego sportsmana barona Deutsch de la Meurthe. Następnie sukces p. Lebaudy, którego projekt przyjęło francuskie ministerstwo wojny do celów praktycznych, stanowiąc przez to już epokowy krok w tej dziedzinie. A nakoniec powodzenie projektu majora v. Parseval, akceptowanego przez niemiecki sztab główny na użytek armii niemieckiej.

O projekcie hr. Zeppelina niegdyś tak głośnym, że cała Europa w naprężeniu oczekiwała pierwszego wzlotu, zapomniano zupełnie, skoro się wzlot nie udał. Jednakowoż hr. Zeppelin nie zraził się pierwszem niepowodzeniem, zainteresował nowych zwolenników, wydobył nowe zasiłki i pracował w cichości, aż oto przed kilku dniami doniosły telegramy, że wzlot jego na nowo zbudowanego balonu całkowicie się udał. Tym razem wykonał tę popisową próbę bez głośnej reklamy, więc też telegram o jego sukcesie był nawet dla kół fachowych i sportowych prawdziwą niespodzianką.

Atoli technicy wojskowi nie przywiązują do sukcesu hr. Zeppelina dzisiaj takiej wielkiej wagi, jak przed czterema lub pięciu laty. Pewien wiedeński aeronauta, ceniony bardzo wysoko ze względu na swe doświadczenie, oświadcza wprost, że system hr. Zeppelina będzie tylko tworzył szczebel w historyi rozwoju aeronautyki, jednakowoż w praktyce spóźnił się o kilka lat i wskutek tego nie znajdzie zastosowania. Największym jego błędem jest dysproporcya między kosztami budowy takiego balonu, a korzyściami, jakich się po nim można spodziewać. Proszę sobie tylko wyobrazić kolos, długości 128 metrów, ważący 9.000 kilogramów, jak on będzie w powietrzu walczył z parciem niespodziewanego wiatru. Wojenne krążowniki na morzu mają mniej więcej takie same rozmiary, jak balon hr. Zeppelina, lecz siła ich maszyn parowych jest kilkadziesiąt razy większa; a jak niebezpieczną jest żegluga tych parowców w czasie burzy!

Trudno także będzie dla takiego kolosu znaleść miejsce do wylądowania. W czasie pokoju i dla popisowych prób łatwo tę trudność pokonać, lecz w czasie wojny niepewność wylądowania staje się wielką przeszkodą. Zauważmy dalej, że jednorazowe napełnienie tego olbrzymiego balonu wodorem kosztuje 10.000 marek, doliczmy do tego koszta siły motorycznej i niezbędne po każdym wzlocie naprawki, a będziemy mieli wyobrażenie, jaka to droga jazda dla dwóch lub trzech osób.

Z tych wszystkich względów nie można uważać problemu jazdy powietrznej balonem do kierowania za rozwiązany. Pytanie tylko, który z przytoczonych powyżej systemów jest względnie najlepszy.

Otóż każdy z nich ma swoje zalety i wady. System Lebaudyego zaleca się tem, że połączenie części mechanicznych z balonem jest ruchome, a więc wytrzymalsze na ewentualne nadmierne parcie wiatru. Major v. Parseval wynalazł korzystny sposób przeniesienia siły motorycznej na wiatrak, a hr. Zeppelin miał największe powodzenie w wyborze i konstrukcyi samego motoru. Przyszłość będzie należeć do tego, który zjednoczy w swym systemie te zalety, a ominie szczęśliwie błędy swych poprzedników.

KRONIKA.

Lwów 22 października.

P. Namiestnik wyjechał wczoraj wieczorem do Wiednia, skąd uda się z żoną do Chlumca (Chlumetz) w Czechach, do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki Zofii ks. Hohenberg na kilkodniowe polowanie.

O rozszerzenie autonomii krajowej. Idąc za przykładem Lwowa i kilku jeszcze miast Galicyi, uchwaliła również rada miejska w Zaleszczykach rezolucyę z żądaniem, aby przed załatwieniem reformy wyborczej w Radzie państwa nadaną została krajowi naszemu w drodze ustawodawczej autonomia gospodarcza, finansowa i edukacyjna z odpowiedzialnością rządu krajowego przed Sejmem. Treść rezolucyi tej przesłano telegraficznie do prezydenta ministrów i do prezydyum Koła polskiego.

Przeciw rozszerzeniu autonomii krajowej. Z Wiednia donoszą do *Gazety narodowej*, że bawi tam teraz p. Stapiński i wysiaduje w przedpokoju prezydenta ministrów, starając się o audyencyę. Pragnie on mianowicie przedstawić br. Beckowi, że stronnictwo jego wcale nie zabiega o autonomię, o której rozszerzenie i zagwarantowanie jej praw upomina się teraz społeczeństwo polskie w Galicyi i że stronnictwo jego pragnie tylko powszechnego głosowania bez względu na autonomię. Podobno przywiózł on z sobą do Wiednia wystylizowane w tym duchu petycye, które podpisywali chłopi ze stronnictwa ludowego i klienci Banku parcelacyjnego. A oto jaką drogą doszedł on do tych petycyi: Oto wydał odezwę, ostrzegającą chłopów przed „pańszczyzną", jaką Koło polskie za cenę głosowania za reformą wyborczą w Galicyi wprowadzić zamierza i przeciw tej nowej pańszczyźnie żądał podpisów na proteście, którego tekst jako wzór podał w swoim *Przyjacielu Ludu*, przyrzekając zarazem polskiemu ludowi w Galicyi, że go wybawi „z tego piekła wyzysku i nadużyć, które we wszystkich dziedzinach życia naszego pielęgnuje wszechwładna garść uprzywilejowanych panów galicyjskich" i obiecuje przeszkodzić takiemu rozszerzeniu autonomii kraju, któreby uprawniło sejm do uchwalenia niepodzielności gruntów i gminy zbiorowej. I tak dalej woła p. Stapiński: „A ma być Polska taka, jaka była, albo taka, jaka jest dziś w Galicyi za rządów stańczykowskich, to niech lepiej jej nie będzie. Bo w takiej Polsce dla ludu tylko gorzki chleb, niedola i poniżenie; bo taka Polska jest hańbą wobec świata, grzechem wobec Boga, a rajem tylko dla garstki samolubów bez czci i ducha". Tak mówi „przyjaciel ludu" polskiego!

Wiec urzędniczy w sprawie drożyzny odbył się wczoraj popołudniu w wielkiej sali ratuszowej pod przewodnictwam p. radzcy dworu Piwockiego, a w obecności wielu dygnitarzy tutejszych, między innymi hr. Łosia, p. radzcy dworu Zaleskiego, JE. p. prezydenta Tchórznickiego i p. prezydenta Dylewskiego. Radzca Łaski, jako referent zaproponował następującą rezolucyę: „Wiec urzędników państwowych we Lwowie uprasza Rząd i Radę państwa o przyznanie urzędnikom państwowym czterech najniższych rang, aż do czasu ustawowego uregulowania płac, dodatku aktywalnego, wynoszącego 20% płacy, a ponawiając zeszłoroczną petycyę o podwyższenie dodatku aktywalnego urzędników państwowych we Lwowie, prosi ze względu na wielką ogólną drożyznę o najrychlejsze załatwienie tej prośby". W krótkiej dyskusyi, która wywiązała się nad tą rezolucyą, pierwszy przemówił poseł Głąbiński. Podniósł on, że stan finansowy państwa, który znalazł wyraz w doskonałym budżecie ministra Korytowskiego, jest obecnie świetny. A ponieważ minister Korytowski znany jest ze swojej życzliwości dla urzędników — przeto jest wszelka nadzieja, że prośba urzędników znajdzie w Wiedniu echo przychylne. Następnie p. Głąbiński wskazał na potrzebę organizacyi taniego kredytu dla urzędników i piekącą sprawę konwersyi długów urzędniczych. I w tej sprawie mogą urzędnicy liczyć na życzliwość i pomoc pana Korytowskiego, a to tem pewniej, że pan Korytowski jeszcze jako prezydent Dyrekcyi skarbu we Lwowie żywo tą sprawą się zajmował i popierał usiłowania w tym kierunku.

Drugi mówca p. radzca Łuczkiewicz, jako członek wykonawczego komitetu zeszłorocznego wiecu urzędników, zawiadomił zebranych, że akcya w celu powołania we Lwowie do życia urzędniczego stowarzyszenia konsumcyjnego i usiłowania rozwiązania kwestyi konwersyi długów urzędniczych, są na jak najlepszej drodze.

W końcu JE. p. prezydent Tchórznicki podniósł, iż drożyzna dokucza urzędnikom nietylko we Lwowie. Sytuacya urzędników na prowincyi z pewnością nie jest lepszą, jak we Lwowie, a gdy się zważy, że ci urzędnicy wysyłać muszą dzieci do szkół w miastach i opłacać za nie kosztowne t. zw. stancye, to przyznać należy, że ich położenie materyalne jest częstokroć gorsze, niż urzędników we Lwowie. Dlatego p. prezydent zaproponował, by w motywach rezolucyi uwzględniono to i zaakcentowano odpowiednio.

Potem rezolucyę wraz z poprawką p. prezydenta Tchórznickiego przyjęto jednomyślnie, oraz postanowiono o uchwale telegraficznie zawiadomić wiedeński „Centralny związek urzędników państwowych", z którego inicyatywy odbył się wiec wczorajszy. Na tem zakończyło się zgromadzenie.

† Prof. dr. Aleksander Zalewski, nadzwyczajny profesor botaniki na uniwersytecie lwowskim, umarł onegdaj we Lwowie. Od dwóch dni znajdował się on na klinice pod opieką dr. Gluzińskiego, dokąd go odwieziono wprost z pracowni botanicznej na uniwersytecie, gdzie uległ atakowi apoplektycznemu. Śp. Zalewski nie miał we Lwowie żadnych krewnych, dlatego wydział filozoficzny uniwersytetu zajmuje się urządzeniem pogrzebu, który odbędzie się dziś, w poniedziałek o godzinie 3 po południu, z domu przedpogrzebowego przy ul. Kochanowskiego l. 64, na cmentarz Łyczakowski.

Konkurs na posadę pisarza gminnego okręgowego, z siedzibą w Tartakowie, rozpisuje Wydział Rady powiatowej sokalskiej. Roczna płaca 700 K. ryczałt na objazdy 200 K. Podania do 4 listopada.

Z dziedziny muzyki. Staraniem krajowego biura koncertowego odbędzie się koncert Ignacego Friedmana i dra Konrada Zawiłowskiego dnia 3-go listopada w sali Filharmonii.

Szkarlatyna w Chyrowie. Przed paru tygodniami zasłabło kilkunastu uczniów gimnazyum OO. Jezuitów w Chyrowie na szkarlatynę. Zarząd zakładu otoczył ich najtroskliwszą opieką i dołożył wszelkich starań, aby choroba się nie rozszerzyła: a więc umieszczono chorych w zupełnie oddzielnym budynku, w gmachu głównym przeprowadzono najściślejszą desynfekcyę, wykluczono możliwość stykania się zdrowych chłopców z tymi osobami, które chorych pielęgnowały — jednem słowem posunięto ostrożność do najdalszych granic. Ale prasie radykalnej nie wystarczyło to. Rada, że będzie mogła dokuczyć Zakładowi, w którym się wychowuje młodzież polska w duchu katolickim, poczęła rozdymać rozmiary epidemii i oburzać się, że w zakładzie odbywa się nauka prawidłowo, podczas gdy wszyscy uczniowie powinni być rozpuszczeni do domów.

Zapomniano, że nie jest to tak łatwa sprawa jak się wydaje. Przedewszystkiem namiestnictwo nie pozwoliłoby na to ze względów zdrowotnych; każdy uczeń przed odjazdem musiałby odbyć rodzaj kwarantanny pod okiem lekarza, któryby orzekał, czy jest zdrów, więc może jechać, czy też musi pozostać, gdyż tkwią już w nim początki choroby. Dalej pamiętać należy, że konwiktorzy chyrowscy nie pochodzą wyłącznie z Galicyi; bardzo znaczna ich liczba przyjeżdża z odległych ziem Rosyi; nie brak ich z Kaukazu, z Turkiestanu, z Tuły, a nawet z zapadłych miejscowości Syberyi. W jakiż sposób miało się odbyć rozpuszczenie tych chłopców? Zanimby korespondecyę z ich rodzicami przeprowadzono, zanimby ktoś z rodziny po nich przyjechał, upłynęłoby kilka tygodni, a może nawet kilka miesięcy, znacznie więcej, niż trzeba było na wygaśnięcie szkarlatyny. Bo istotnie wygasła już ona; nowych chorych już niema, a dawni znajdują się w rekonwalescencyi.

Nakoniec przypomnieć tu jeszcze musimy, że od czasu, gdy badania nad szkarlatyną wykazały, że mylne jest mniemanie jakoby ona szerzyła się za pomocą łuszczącej się skóry i z tego powodu najniebezpieczniejszą była w czasie owego łuszczenia, a natomiast stwierdzono, że szerzy się ona jedynie przez ślinę, przestano uważać szkarlatynę za chorobę tak tajemniczą w swej zaraźliwości, za jaką ją do niedawna uważano. Nawet osoby pielęgnujące chorych na szkarlatynę bardzo łatwo mogą się ustrzedz zarażenia. Należy tylko zabronić choremu mówić. Badania wykazały bowiem, że każdy człowiek, gdy mówi wyrzuca z ust ślinę na dość znaczną odległość, która dochodzi nawet paru metrów gdy człowiek mówi głośno lub w podnieceniu. Otóż w ślinie chorego na szkarlatynę tkwią zarazki tej choroby, łatwo więc stać się może, że ślina ta, wypryskiwana z ust chorego, wpaść może bezpośrednio do ust osób stojących dokoła jego łoża. Również spadając na ziemię miesza się ona z pyłem i z tym pyłem potem wdychana jest przez ludzi, będących w pokoju chorego. A podczas procesu wdychania znowu dostaje się oczywiście do ich ust. Owóż, żeby zapobiedz szerzeniu się zarazy zapomocą śliny, należy, jak już wspomnieliśmy, zabronić choremu mówić; jeżeli zaś koniecznie chce coś powiedzieć lub majaczy w gorączce, należy nałożyć mu na głowę gęstą siatkę drucianą, umaczaną w karbolu i w ten sposób łowić wszystkie pęcherzyki śliny, wypryskiwane z jego ust. Tak zabezpieczywszy chorego, można zupełnie spokojnie przebywać w jego pokoju, bez obawy zarażenia się tą straszną chorobą.

Z Filharmonii. Z powodu zupełnej wyprzedaży biletów na poniedziałkowy koncert Kubelika, a licznych dalszych zgłoszeń i zamówień, dyrekcya Filharmonii skłoniła Kubelika do wystąpienia w drugim koncercie, który odbędzie się dnia 26-go bm. Bilety na ten drugi koncert sprzedaje już kasa Filharmonii.

Z awantur niedzielnych. Wczoraj nad wieczorem policyant, stojący na posterunku na ul. Źródlanej, aresztował niejakiego Simińskiego, który po pijanemu w towarzystwie kilku kolegów wyrabiał awantury i obił jednego z przechodniów. Murarz z Kleparowa Kozakiewicz postanowił niedopuścić do aresztowania Simińskiego i jął go wydzierać policyantowi.

Zgromadzona dokoła gawiedź pomagała mu, rzucając na policyanta kamieniami. Policyant dobył szabli i ranił lekko Kozakiewicza w rękę. Kozakiewicz ranny już rzucił się powtórnie na policyanta i zamierzył się kijem, chcąc go uderzyć w głowę. Wtedy policyant ciął go w twarz, tym razem ciężko. Kozakiewicza odwiozło pogotowie stacyi ratunkowej do szpitala.

Defraudacya. W Ternitz pod Neunkirchen w Austryi górnej oficyant pocztowy Józef Süss ukradł z kasy pocztowej 12.000 kor. i zbiegł zdaje się, do Galicyi.

Temperatura dnia 19 października o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +10, we Lwowie +9, w Tarnopolu + 7, w Czerniowcach +5, w Wiedniu +10, w Salcburgu +8, w Gracu +7, w Pradze +7, w Tryeście +13, w Abbazyi +13, w Raguzie +16, w Budapeszcie +11, w Berlinie +8, w Hamburgu + 9, w Monachium +9, w Zurychu +10, w Genewie +10, w Lugano +8, w Anglii + 7, w Paryżu +13, w Biarritz +16, w Nizzy +14, w północnych Włoszech +10, we Florencyi +11, w Rzymie +12, w Neapolu +16, w Palermo +17, w Madrycie +15, w Sztokholmie +8, w Petersburgu +10, w Wilnie + 9, w Warszawie + 9, w Moskwie +4, w Kijowie + 9, w Odessie +8, w Serajewie +7, w Belgradzie +11, w Bukareszcie + 9, w Sofii +10, w Konstantynopolu +15, w Atenach +17. (Temperatura według Celsiusza).

Wyjaśnia się w całej Europie.

Zmarli. X. Jędrzej Zieliński, proboszcz i kanonik, ozdobiony złotym krzyżem zasługi, zmarł w Gródku Jagiellońskim w 83 r. życia, a 59 kapłaństwa. Połowę lat swej dodatniej pracy spędził we Lwowie, jako profesor i katecheta gimnazyalny, a następnie jako dyrektor zakładu naukowego P. P. Benedyktynek. Później jako proboszcz i kanonik pełnił swe obowiązki przez 31 lat w Gródku Jagiellońskim, gdzie dom jego z gościnnością iście staropolską łączył w zgodnej harmonii wszystkie dykasterye i duchowieństwo tak rzymsko, jak i grecko-katolickie. R. i p.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano +10 R. w poł. +14 R. w cieniu, +19 na słońcu. Bar. 771. Spada. Prześliczna pogoda.

W ostatnich dniach miesiąca.

Pierwszy urzędnik. Jeszcze tylko dwa smutne dnie, a mieć będziemy pieniądze.

Drugi. A potem tylko dwie wesołe noce i pieniędzy znowu mieć nie będziemy.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich naszych prenumeratorów Cennik szkółek leśnych i ogrodowych, oraz nasion drzew leśnych Tadeusza hr. Łubieńskiego z Zassowa pod Czarną.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Dziewica Orleańska“, tragedya Schillera. — We wtorek „Opowieści Hoffmana,“ opera fantastyczna J. Offenbacha. — We środę po raz pierwszy „Maman Colibri,“ komedya w 4 aktach Henryka Bataille. — We czwartek „Orfeusz w piekle,“ opera komiczna J. Offenbacha. — W piątek „Maman Colibri,“ komedya H. Bataille. — W sobotę popołudniu „A Pippa tańczy!“ baśń huty szklanej G. Hauptmana; wieczorem „Aida,“ opera Verdiego z pp. Gembarzowską, Oleską, Markówną, Muszyńskim, Mossoczym, Ludwigiem i Paszkowskim.

Repertuar teatru krakowskiego. We wtorek „Bodenheim,“ sztuka w 5 aktach wierszem Lucyana Rydla. — We środę „Odwieczna baśń,“ poemat dramatyczny w 3 akt. St. Przybyszewskiego (popularne). — We czwartek „Pan Jowialski,“ komedya w 4 akt. Al. hr. Fredry. — W piątek teatr zamknięty. — W sobotę „Zimowa opowieść,“ dramat w 5 aktach W. Szekspira, muzyka L. Flotowa. — W niedzielę „Zimowa opowieść“.

Colosseum Hermanów. Od 16 do 31 października. Signor Ghezzi, słynny włoski transformator w komedyi: „Skandal w restauracyi“. — Hoocker and Ma belle Davis, sensacyjni amerykańscy tancerze ekscentryczni. — „Wyrzucić go,“ farsa. — 11 pierwszorzędnych nowości. — W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Świetnej Reprezentacyi król. stoł. m. Lwowa, Tow. Strzeleckiemu, Izbie handlowej i przem., Tow. kupców i młodzieży handl., Tow. myśliwskiemu im. św. Huberta, Gal. Tow. łowieckiemu, Dyr. Banku austro-węg., oraz wszystkim przyjaciołom i znajomym, którzy raczyli oddać ostatnią przysługę memu mężowi, względnie ojcu ś. p. Alfredowi Dzikowskiemu, wyrażamy szczere podziękowanie.

Helena Dzikowska, Dr. Zdzisław Dzikowski.

Literatura i sztuka.

* **Z opery.** W sobotę wznowiono „Samsona i Dalilę“. prześliczną operę Saint-Saensa. Dyrygował nią pan Rukawina, kapelmistrz pełen taktu i energii, to też zarówno orkiestra, jak i chóry trzymały się bardzo dobrze. Z solistów pierwsze miejsce należy się oczywiście pani Oleskiej; śpiewała ona bardzo dobrze, partyę tę wycieniowała jeszcze lepiej, niż to dawniej robiła nietylko pod względem wokalnym, ale i pod względem aktorskim. Dobrym był także p. Ludwig w roli arcykapłana. Pp. Mossoczy i Paszkowski wykonali swe partye ku zupełnemu zadowoleniu. Co się zaś tyczy p. Muszyńskiego, to wywiązał się on dobrze ze swego zadania, jakkolwiek trema nie dawała mu należytej swobody. Publiczności zebrało się sporo i oklaskiwała ona rzęsiście naszych śpiewaków.

Adam Pnieynia. *„Zgrzyt“.* Poznań 1906. Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

Z zupełnie usprawiedliwionem zainteresowaniem każdy krytyk bierze do ręki książkę, noszącą na tytułowej stronnicy nazwisko nowego, nieznanego dotąd autora. Więc też i my mając przed sobą ze trzydzieści tomów nowo wydanych książek, wzięliśmy przed innemi niniejszy tomik, zaintrygowani zupełnie dotąd nieznanem w świecie literackiem nazwiskiem pana Adama Pnieyni. A rozcinając pierwsze kartki powieści posyłaliśmy mu gorące życzenia, żeby dorównał największym naszym pisarzom, żeby stanął obok Prusa, Weyssenhoffa, Sienkiewicza, żeby światłem swojego geniuszu opromienił naszą niwę literacką.

Niestety życzenia te były płonne. *Zgrzyt* jest utworem bardzo miernego talentu więcej narracyjnego, gawędziarskiego, niż powieściopisarskiego i autor musi usilnie i mozolnie pracować, jeżeli chce z tym swoim maleńkim talencikiem wyrobić sobie jakieś w literaturze nazwisko. Pracy tej w *Zgrzycie* nie widać, autor nie zadał sobie nawet trudu wytknąć celu, dla którego powieść tę pisał, nie obmyślił planu, nie ustawił postaci w żadnej perspektywie, lecz według metody zwykłego gadulstwa opowiada o pospolitych wypadkach sposobem kronikarskim, monotonnym, wskutek czego, jego powieść robi raczej wrażenie protokołu lub *Silvea rerum*, niż artystycznego utworu. Rzecz dzieje się w kolonii polskiej, zebranej w miesiącu listopadzie w Montreux w Szwajcaryi. Bohaterem jego opowiadania jest inżynier Zarzecki, młodzieniec wykrojony po części z Feuillet'owskiej miłości ubogiego młodzieńca, a po części z tych romansów z przed pięćdziesięciu laty, w których to młody inżynier zjawiał się w okolicy, zabitej deskami od świata, stawał kwaterą w dworze szlacheckim, trasował kolej żelazną, rozkochiwał w sobie pannę etc.

Taki to właśnie młodzieniec przyjechał do Montreaux i zaraz nazajutrz poznał się z hrabią De Lorge z Litwy, który tam bawił z żoną i dwiema córkami. Pan Zarzecki, wyjeżdżając z Królestwa Polskiego, pozostawił w domu narzeczoną, jakąś skromną i mało wykształconą dzieweczkę małomiasteczkową, córkę mechanika, a siostrzenicę szewca i w pierwszych chwilach pobytu w Montreux myśli tylko o swojej Maryni; stopniowo jednak coraz bardziej poddaje się urokowi hrabianki de Lorge, panny, która lubo przebywa większą część roku zagranicą, kształciła się u Leszetyckiego w Wiedniu w grze fortepianowej i uchodzi za pannę bardzo wykształconą, światową, elegancką, mówi jednak językiem używanym przez najniższe warstwy społeczeństwa litewskiego. Więc powiada naprzykład tak: „Przepraszam, że tak długo nie schodziłam, ale nuty gdzieś zgubiwszy, szukałam ich napróżno“, albo naprzykład: „uczyłam się u Leszetyckiego, ale niestety za krótko, bo papa nie pozwoliwszy“, albo jeszcze: „dawniej go lubiwszy, ale teraz nie“.

Prawdę mówiąc, trudno przypuścić, żeby panna mówiąca takim językiem mogła się komu podobać, ale autor zapewnia, że Zarzecki szalenie w niej się zakochał i odtąd stał się nieodstępnym towarzyszem hrabiego i jego rodziny. Urządzają więc dzień w dzień wycieczki, spacery piesze, w powozach i w łódkach. W tych wycieczkach biorą jeszcze udział państwo Wolscy, ziemianie z Królestwa Polskiego; on rodzaj polskiego gargantuy, żarłoka, myślącego tylko ciągle o jedzeniu i piciu, ona typowy okaz gatunku, zwanego kura, albo kaczka *domestica*. Dalej należy do tej kolonii polskiej księżna Wołodkowiczowa, córka jakiegoś bogatego nafciarza z Galicyi, która, gdy wyszła za mąż za ubogiego szlachcica z Litwy, Wołodkowicza, skorzystała z tego, że mąż jej należał do tych dziesięciu czy piętnastu tysięcy Litwinów, mających przydomek „Kniaź“, co — jak wiadomo — oznacza, że któryś z jego przodków był samodzielnym gospodarzem-chłopem, a nie poddanym. Więc pani Wołodkowiczowa kazała zaraz siebie tytułować księżną, a ponieważ robi to już od lat kilkunastu i na wszystkich swoich sprzętach wytłacza mitry książęce, przeto ludzie uwierzyli, że jest księżną i ogromnie z dołu do góry patrzą na nią. O córkę tej księżnej stara się jakiś hr. Łaski, młodzieniec nie wymawiający litery *r* i chodzący z plastrem na twarzy, — opowiada bowiem, że się strasznie stłukł jadąc automobilem — tymczasem autor nas zapewnia, że pan hrabia grając w koniki w kasynie przywłaszczył sobie wygraną stawkę jakiegoś Amerykanina, a ten niedługo myśląc dał mu tak w twarz, że powstała na policzku rana, którą trzeba było plastrem zakleić. Jakim sposobem burda taka w obecności kilkudziesięciu czy kilkuset osób dokonana, mogła się zachować w takiej tajemnicy, że księżna Wołodkowiczowa nic o tem nie wiedziała i w parę tygodni potem wydała nawet wielki wieczór dla uświetnienia zaręczyn jej córki Izy z hrabią Łaskim, tego nam autor nie wyjaśnia, jak wogóle nie uzasadnia żadnych takich rzeczy, które noszą na sobie cechę ekscentryczną i w umyśle czytelnika budzą wątpliwości. Lubi jednak autor, rysując swoje postacie, dzielić je na te, które są dla niego sympatyczne i na te, które nie są sympatyczne; o pierwszych mówi zawsze w superlatywach, do drugich przypina łatki. Jako sam demokratycznie usposobiony, — ale to według tego polskiego demokratyzmu, który każe patrzyć z nienawiścią ku górze, a z pogardą na dół — autor nie lubi księżnej Wołodkowiczowej i chętnie jej łatkę przypina. Jedna z takich łatek jest dość dowcipna. Autor opowiada:

„Planowano na jutro wycieczkę do Vevey, celem zwiedzenia słynnej na świat cały fabryki mączki dziecięcej Nestlego.

Gdy projekt ten przedłożono księżnej, aby pozwoliła wziąć też udział pannie Izie, odparła sucho:

— Wątpię bardzo, czy to stosowne dla młodych panienek!

— A dlaczego? — spytał pan Wolski — cóż tam takiego niestosownego wyrabiają w tej fabryce?

— Jak można o tem mówić przy pannach? Nie wie pan, że tam wyrabiają skoncentrowane mleko dla nowonarodzonych i mączkę dla dzieci nie karmionych piersią.

Księżna skrzywiła się strasznie.

— Ha, ha! — zaśmiał się grubym głosem pan Wolski.“

Księżny tej — jak wspomnieliśmy — autor nie lubi i chętnie jej docina, za to, że nie jest demokratką; a równocześnie pochwala bardzo swojego bohatera, inżyniera Zarzeckiego, za to, że zrywa stosunek z siostrzenicą szewca, a stara się o rękę hrabianki.

Ale wróćmy do przerwanego toku opowieści.

Wspomnieliśmy już o tem, że członkowie kolonii polskiej urządzają dzień w dzień wycieczki, zabawy i tym podobne wspólne przyjemności; a tymczasem pan Zarzecki coraz głębiej zanurza się w miłości do hrabianki, a ona w miłości do niego; rodzice zaś patrzą na to i nic nie widzą w tem zdrożnego; nie mają nic przeciwko temu, że młodzi ludzie spacerują po górach sami, we dwoje, wszędzie na publicznych miejscach pojawiają się w czułej parze, ba i gdzieś nawet na jakiejś tarasie całują się namiętnie. Pan hrabia opowiada inżynierowi, jakie to błota panują w jego lasach litewskich, jak tam żadną nawet bryczką, lub furą nie można przejechać i nawet drzewa z tych lasów wywieść niepodobna, a inżynier go zapewnia, że pobuduje kanały i wtedy hrabia miliony dostanie za swoje wielkie lasy. Hrabia więc z ogromną czułością traktuje młodego inżyniera i jest dla niego przejęty najgorętszemi uczuciami sympatyi.

Scena się zmienia, gdy się dowiaduje, że młodzieniec pozyskał serce jego córki i chce prosić o jej rękę; hrabia się oburza, hrabina także i zamykają dom przed młodym inżynierem, on zaś zirytowany, zapisuje się do socyalistów.

Oto jest treść powieści. Nie bardzo ona wybredna, ale pod pewnym względem znamienna. Autor w ciągu całego opowiadania przedstawia się jako konserwatysta i katolik. Tymczasem na końcu powieści z wielkiem uznaniem mówi o tem, że jego bohater zapisuje się do socyalistów. Dlaczego? Oto dlatego, że hrabstwo De Lorge nie chcieli wydać córki za ubogiego i nieznanego inżyniera, którego przypadkowo spotkali w miejscu kąpielowem.

Okazuje się więc, że tak samo jak w życiu, tak i w powieści, będzie zawsze w Polsce powtarzała się romantyczna historya pogardzonej miłości i że wszystkie ujemne stronnictwa będą u nas zawsze rekrutowały się z odpalonych konkurentów.

* **J. Lemański.** *„Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu“.* Warszawa. 1906.

Autor tego tomiku znany był dotychczas z doskonałych bajek, drukowanych przeważnie w pismach warszawskich. Świeżo wydany tomik świadczy, że obdarzony wielkim zmysłem spostrzegawczym i sporą dozą dowcipu autor przerzucił się zupełnie na pole satyry. Szkoda tylko, że dla prac swych z tego zakresu obrał bardzo trudną formę: tercyny, której wszystkie trzy wiersze rymują się z sobą. Nieraz bowiem znać wielki wysiłek w jego robocie, co osłabia efekt. Nieraz jednak doskonale wywija się z trudności. Oto naprzykład kilka tercyn z satyrycznego poematu, zatytułowanego „Ideał“.

Niech tam szczęścia niedowiarki
Usychają, jak sucharki.
Nasze hasło innej marki.

Póki tli się w źrenic próchnie,
Używajmy dóbr miluchnie,
Aż circumferencya spuchnie!

Nie rozumiem ja — ma foi! —
Po co tyle wieków truła
Ludzi świętych ksiąg bibuła?

Dość tej głupiej gospodarki!
Nim nam przetną życie Parki,
Pijmy rozkosz z pełnej czarki!

Nim zaświeci dnem szkatuła,
Użyj, niechby dusza czuła,
Że niedarmo tu się tuła!

Przy kieliszku i dziewuchnie
Siądź, i mile, rozkoszniuchnie
Gruchaj, póki śmierć nie gruchnie!

Jeśli żyć chcesz, jak wypada,
Niech ci służy moja rada.
Mienie miej, a zkąd? — któż bada?

Czy dziedziczy się z pradziada,
Czy zagrabia się, czy skrada —
Głupstwo! Szczęsny ten, kto włada.

Dalej, po swawolnym ustępie, malującym życie miejskie pod hasłem „wesolutko“, p. Lemański trąca w strunę spiżową, lecz zawsze ręką satyryka:

Mielim ongi sławnych króli;
Mielim świętych z aureoli...
Było!... Nie ma!... Z Bożej woli!

Mielim hen — koło Pomorza,
Przed wiekami łachę morza...
Było!... Nie ma!... Wola Boża!

Morze, pełne głębin chlustu,
Nie przypadło nam do gustu,
Widać — z Bożego dopustu!

Morska woda smak ma gorzki;
Nam od Bogów — słodsze bożki;
Drwimy z świętych, my — świętoszki.

Często płytkie ale i pełne werwy te tercyny, nie zawsze jednak są dopowiedziane, jak np. satyra na ideał żony w tymże wierszu o „Ideale“; a czasem zdarza się też, że autor dla rytmu lub rymu do tego stopnia naciąga sens, że czytelnik nabiera ochoty samego satyryka potraktować satyrycznie. Oto naprzykład takie strofy:

Strzeż się żon à la Burne Jones.
Polka niech wie, co polonez,
Rosół, bigos i majonez!

Do rosołu pietruszeczka
Idzie i pieprzu troszeczka:
O tem niechaj wie dzieweczka!

W jakim stosunku i co się
Konglomeruje w bigosie —
Wiedzą z „Tadeusza“ Zosie.

Żony *à la Burne Jones* przestały już być modne, a Zosia z „Pana Tadeusza“ mogłaby przecież dać niejedną lekcyę ideału rozmaitym secesyjnym pannom.

Oto znowu kilka tercyn z wiersza „Poezya“:

Piszą poezye i piszą.
Ach, czas tym życia okpiszom
Powiedzieć prawdę. Niech słyszą.

Zwichnął los; wyszedł z kolei:
Nie śpi, jak trzeba, i nie je:
Ot — źródło masz epopei.

Chory, zdradziła go żona;
Nie dopisuje mamona:
Ot — i gotowa *canzona*.

Prosił o rękę podwiki;
Ona mu daje koszyki:
Ot — zkąd powstają liryki.

Tak autor szydzi. A oto co doradza:

Urządź się wedle praw prawa;
Grosz rób, i z lewa, i z prawa;
Żyj, mrzyj, i skończona sprawa.

Jadalność, pijalność, spalność,
I innych dóbr używalność —
To idealna realność.

Bukiety, fety, kinkiety;
Zaręczynowe sygnety —
Również są godne poety.

Człek na ołtarza kląkł stopnie.
Ślub. Gdy się wyżyn tych dopnie.
Jest poetycznie okropnie!

Przeżyć bez ducha finezyi
Życie i bez herezyi —
No.. to jest kawał poezyi!

Pod względem zapatrywań bardzo często różnilibyśmy się z autorem; nieraz bowiem szydzi on z tego, co wcale się do szyderstwa nie nadaje, a sympatyami obdarza niekiedy dosyć wątpliwe cnoty i dziwne idee. P. Lemański jest jednak autorem oryginalnym, śmiałym, nie banalnym, więc uważaliśmy za stosowne zwrócić na niego uwagę naszych czytelników.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 20 października.

(Z). Niespodziewane podwyższenie przez dyrekcyę banku angielskiego stopy procentowej z 5 na 6% wywołało na wszystkich targach pieniężnych olbrzymią konsternacyę. Najbardziej dotknięte zostały te targi, na których odbywa się spekulacya w walorach amerykańskich, a więc berliński i londyński, gdyż zachodzi obawa, że w walorach tych nastać może teraz ogromna zniżka.

Tutejszy targ stosunkowo najmniej odczuł szkodliwe następstwa tak znacznego podwyższenia stopy procentowej w Anglii, bądź co bądź jednak i tutaj zniżka była ogólną.

Na jednem z najbliższych posiedzeń Rady państwa wniesie minister finansów prowizoryum budżetowe na pierwsze półrocze 1907. Zawiera ono także upoważnienie do użycia nadwyżek kasowych z roku 1905-go w sumie 52 milionów na zapowiedziane przez dra Korytowskiego inwestycye i cele humanitarne.

Z Paryża donoszą, że bawił tam ostatnimi czasy bułgarski minister finansów i porozumiał się z grupą bankierską, na której czele stoi „Banque de Paris“, co do konwersyi zarówno 6-procentowej, jak i 5-procentowej renty bułgarskiej na 4-procentową. Zdaje się jednak, że operacya ta będzie mogła przyjść do skutku chyba dopiero na wiosnę, gdy stosunki procentowe nieco się poprawią.

Jako jedno z następstw podwyższenia stopy procentowej w Anglii na 6% podnieść należy spadek kursu wszystkich rent państwowych. Czteroprocentową rentę austryacką notowano dziś na 98·75.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 19 października 1906 r.) Wahanie cen w ostatnich czasach na rynkach w Wiedniu i Budapeszcie, gdzie próbowano wywołać baissę, przeważyło się raczej w kierunku dodatnim i ceny się utrzymały. Również i na naszym targu tendencya jest silna, a pojawiający się towar z łatwością napotyka odbiorców. Brak większych zapasów jęczmienia i owsa przyczynił się nawet do zwyżki cen artykułów.

Sprzedawano: pszenicę białą od 8·55 do 8·65 koron, czerwoną od 8·30 do 8·55, żyto od 6·40 do 7·10, jęczmień od 6·70 do 7·00, owies od 7·00 do 7·40, groch zwykły od 8·75 do 9·75, groch Victoria do 10·50 do 11·50, groch (do siewu) na paszę od —·— do —·—, wyka nowa od 0·— do 0·—, bobik od 0·— do 0·—, kukurudza stara od 0·00 do 0·00 nowa od 7·55 do 7·75, Cinquantino od 8·15 do 8·25, otręby pszenne od 4·80 do 5·—, żytnie od 5.00 do 5·20, rzepak od 15·00 do 15·60· Wszystko za 50 klgr.

§ **Z kolei.** Z dniem 1 października b. r. otwarto w obrębie c. k. Dyrekcyi kolei państw. w Villach częściowe szlaki kolejowe kolei Karawanki, Feistritz i/R.-Rosenbach-Assling ze stacyami Feistritz, Maria Elend, Rosenbach i Assling, tudzież Villach-Rosenbach ze stacyami Finkenstein, Faak i Ledenitzen dla ruchu publicznego. — Pomienione szlaki kolejowe łączą się: we Feistritz z koleją państwową Celowiec - Feistritz, otwartą dnia 30 maja b. r.; w Villach z koleją państwową Amstetten-Pontafel i z koleją południową Marburg - Franzensfeste, a wreszcie w Assling ze szlakami kolei państwowych Tarvis-Lublana i Assling-Tryjest.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Wiedeń. Dzienniki donoszą, że następcą hr. Gołuchowskiego będzie hr. Mensdorff-Pouilly, dotychczasowy ambasador austryacki w Londynie. Jest on ożeniony z siostrą Apponyi'ego, węgierskiego ministra oświaty, i z tego powodu bardzo dobrze na Węgrzech widziany. Nie mogąc więc wynaleźć żadnego Węgra, któryby odpowiadał warunkom wymaganym od ministra spraw zewnętrznych, przeprowadzili Węgrzy nominacyę spowinowaconego z nimi ambasadora.

Inne znowu dzienniki utrzymują, że na razie jeszcze nie zostanie mianowany hr. Mensdorff-Pouilly, że wogóle tymczasem nikt nie będzie mianowany ministrem spraw zewnętrznych, a br. Burian, wspólny minister skarbu, będzie reprezentował ministerstwo spraw zewnętrznych w Delegacyach.

Wiedeń. W Bernie i Gracu odbyły się wiece urzędników państwowych i uchwalono rezolucye z żądaniem czasowego awansu i 20% dodatku drożyźnianego.

Tangier. Amerykańskie poselstwo bawi ciągle jeszcze w Fezie. Zdaje się, że chodzi o pożyczkę amerykańską. Sułtan miał wczoraj trzecią tajną konferencyę z posłem niemieckim, jak się zdaje, wyłącznie w kwestyach politycznych.

Paryż. Wczoraj w nocy nastąpiło na dworcu kolejowym w Colombes pod Paryżem zderzenie pociągu osobowego z ciężarowym. 11 podróżnych odniosło lekkie obrażenia. Kilka wagonów jest uszkodzonych.

Biserta. Okazała się niemożliwość wydobycia trupów z podwodnej zatopionej łodzi „Lutin“, wskutek czego zaniechano usiłowań.

Komisya śledcza przyszła do przekonania, że „Lutin“ wskutek doznanych uszkodzeń, zanurzyła się tylną częścią i zaraz napełniła się wodą.

Minister marynarki Thomson odjechał z powrotem do Paryża.

Nowy Jork. Koło wyspy Mataszirube, na drodze Ferridas, szalał cyklon, który zatopił okręt baggerowy z 50 ludźmi.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń. Namiestnik hr. Potocki przybył tu dziś o godz. kwadrans na 7-mą ze Lwowa.

Wiedeń. Dymisya hr. Gołuchowskiego nastąpiła na wczorajszej audyencyi u Monarchy. Dzienniki zajmują się kwestyą następcy. Wymieniają: ambasadora w Londynie hr. Mensdorff-Pouilly, ambasadora w Petersburgu bar. Aerenthala, byłego radzcę ambasady w Paryżu hr. Karola Kinsky'ego. Autentycznych wiadomości brak.

Łódź. Na mocy ogłoszenia oberpolicmajstra, zamknięte być mają wszystkie szkoły, zakłady naukowe i biblioteki, założone przez Macierz szkolną i Tow. krzewienia oświaty. Policmajster motywuje to zarządzenie tem, że nie uzyskano pozwolenia władz na otwarcie. Wniesiona będzie apelacya do władzy wyższej.

W fabryce Gustawa Schreiera wynikła bójka między robotnikami narodowcami a socyalistami. Kilkanaście osób zostało lżej lub ciężej zranionych. Właściciel zamknął fabrykę na czas nieograniczony.

Warszawa. Rada uniwersytetu warszawskiego wysłała już do ministerstwa oświaty orzeczenie profesorów o niemożliwości wznowienia wykładów.

Moskwa. Wczoraj odbyło się zgromadzenie studentów przy udziale kilku tysięcy osób. Uchwalono odmówić obcym przystępu do uniwersytetu i poczynić zarządzenia dla ściślej kontroli w celu niedopuszczenia, aby zgromadzenia na uniwersytecie odbywały się przy współudziale obcych osób.

Elizabetpol. Na tutejszej stacyi kolejowej rzucono bombę na posterunek żandarmeryi. Trzech żandarmów ciężko zraniono, dwóch lekko.

Władykaukaz. Na stacyi Gudermes pociąg towarowy spadł z nasypu kolejowego. Dotychczas nie stwierdzono, ile osób doznało szwanku. Wypadek ten jest następstwem zbrodniczego zamachu, jaki przygotowywano na pociąg pocztowy.

Berlin. Do Biura Wolffa donoszą z Juzówki, w gubernii jekatierynosławskiej: 10-ciu uzbrojonych ludzi napadło na kasyera kopalni w Kamenskoje i zrabowało 10.000 rubli. Wszyscy rabusie uciekli, chociaż jednego z nich zranił żołnierz policyjny, towarzyszący kasyerowi.

Paryż. Clemenceau oświadczył, że wczoraj nikomu nie ofiarował teki. Clemenceau sądzi, że utworzenie gabinetu nie nastąpi przed upływem czterech dni. Dziś głównie chodzi o obsadzenie teki spraw zagranicznych. Zdaje się, że tekę wojny obejmie jen. Picquart.

Komisya reformy wyborczej.

Wiedeń. Cesarz przyjął prezydenta ministrów bar. Becka na dłuższej audyencyi prywatnej.

Wiedeń. Komisya reformy wyborczej prowadzi dziś dalej dyskusyę nad § 42 ordynacyi wyborczej do Rady państwa.

P. Löcker przypomniał słowa ks. Hohenlohego, według których § 42 ma stanowić trwałą ochronę pokojowych stosunków. Mówca zaznacza, że ze względu na wstrząśnienia, jakie wywołać może każda walka o prawa wyborcze, jest to rzeczą konieczną. Następnie mówca obszernie polemizował z p. Kramarzem.

Po nim przemawiał wszechniemiec Herold.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 22 października. W. hr. Błażowski z Nowosiółki. T. Łempkowski z Zaszyna. E. Lucan z Berlina. F. Laupenmühlen z Düsseldorfu. H. Gottleb Haszlakiewicz z Tehlowa. W. Krzyżanowski z Lipicy. K. Strzyżowscy z Kozie. W. Łukasiewicz z Suszczyna. P. Kęszycka z Rosyi. S. Puntschert z Rozważa. PP. Zarańscy z Drohobycza. G. Hilscher z Pysznicy. J. Szeibowa z Trościaniec. Dr. S. Schätzel z Brzeżan. Dr. Szpunar z Łańcuta. J. Weiser z Sassowa.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina i delikatesy.

Przyjechali dnia 22 października. R. Niedeccy z Dobrosina. T. Wroniewscy z Leczy. F. Kaspar z Wiednia. J. Biliński z Szarpaniec. G. Steingraber z Krakowa. A. Cettineo z Czerniowiec. J. Lewicki z Rosyi. M. Kaliniewicz z Jasła. S. Sternschel ze Stryja. L. Eydziatowicze z Sanoka. S. Brandstetter z Białej. O. Kleinman z Przemyśla. S. Karpowicz z Dublan. E. Horodyska z Wygnanki. D. Terkel z Tarnopola. W. Tabeau z Tarnowa. E. Werner z Mycowa. M. Zawadzki z Kołomyi. E. Pelikan z Krosna. M. Żukotyński z Rosyi. L. Chałubiński z Warszawy. B. Bilikiewicz z Krakowa. M. Mężykowa z Chyrowa. M. Grünberg, G. Basch, R. Nehamsky. A. Lustig, E. Angermayer, D. Vergun, F. Friedrich, L. Husserl, B. Jahn, S. Hochmann i A. Nassau z Wiednia.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 22 października.

Marki 117.60, renta majowa 98.40, węgierska renta koronowa 94.20, akcye: austr. zakł. kredyt. 670.25, węg. zakł. kred. 808.50, anglobanku 315.75, unionbanku 564·50, bankvereinu 554.50, länderbanku 441·00, kolei państw. 675.50, lombardy 180.76, akcye kolei Elbethal 450·00, fabryki broni 576.00, tytoniowe 000·00, alpiny 594.75, Rima Muranyi 579·00, prag. T. żel. 2771.00, losy tureckie 161.00, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska na r. 1906 79.80.

Warszawa. Listy zastawne 4½% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem 87.60, zaś 4%—80.95. Listy zastawne 5% miasta Warszawy 94.—, takież 4½% — 82.95.

Wiedeń 22 października. (Giełda towarowa). Cukier 20·90—21·00. (słabo). — Spirytus 40·80—41·20.. — Nafta galicyjska bez zmiany.

Budapeszt 22 października. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 14·24—14·26, na kwiecień 14·80—14·82; żyto na październik 13·12—13·14, na kwiecień 13·00—13·02; owies na październik 14·08—14·10, na kwiecień 13·94—13·96; Kukurudza na październik 00·00—00·00, na maj 1907 r. 10·28—10·30. — Rzepak na sierpień 26·20—26·40. — Oferty: mierne.— Chęć kupna: mierna. — Pogoda: piękna.

Lwów 22 października. (Z izby handlowej) Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.— Kolej dworsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 579 — do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 570 00 do 580 00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —.— do 300·—· Banku dla handlu i przemysłu po 400 k 160·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 110 50 do 111 20 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 00 do 100 70, 4 proc. los. w 60 lat 97·70. do 98·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 100 50 do 101·20. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 97.70 do 98·40.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99 30 do 00·00, 4 proc los w 41 i pół latach 99 30 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 97 70 do 98·40.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 98 80—99 50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102 00 do —·—. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 100 70 do 101·40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 96 50 do 97 20. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 97 30—98 00, miasta Lwowa 4 proc. 95·40 do 96 10, 4% bez podatku (konwers.) 98 10 – 98.80,

Monety. Dukat cesarski 11·24 do 11·40. Napoleondor 19 00 do 19·25. 100 ruble rosyjskie papierowe 251 80 do 253 80. 100 marek niemieckich 117 30 do 117 90.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8·40***, 5.50*, 8.45, 5.25, 9.30*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50. 10,30*
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00. 11.25, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25**, **12.45***, **2.45**, 4 05*, 8.35, 6.35*, 11.0.*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.35, 11.15, 6.37* 10.08*.
Do Czerniowiec. **2 51**, **2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7·25 .
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.30, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa. Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 8.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

41)

Młodszy mąż.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

— Do socyalizmu jeszcze bardzo daleko... Obecnie przyszła mi tylko na myśl uwaga, w jaki dziwaczny sposób pojmują nieraz ludzie szczęście. Pomnę, w ojczyźnie mojej znałam rodziny, żyjące z pokolenia w pokolenie życiem, ściśle związanem z naturą. Mieszkają w obszernych chatach, będących zazwyczaj dziełem własnych ich rąk. Ojciec rodziny i synowie polują całymi dniami, a kobiety zajmują się gospodarstwem. Oko ich nie wybiega nigdy poza granicę widnokręgu, na którą składa się błękitna toń morza, zieleń lasów i szara ziemia. Nie wiedzą, co to są wygody lub rozrywki umysłowe, bez których my nie rozumiemy już życia. A jednak czują się względnie zadowolonymi ze swego losu. Pracują nieraz ciężko, to prawda, ale praca ta nie zakłóca spokoju i nie pozbawia swobody. Tymczasem ojciec mój, któremu nieraz zazdroszczono stanowiska i znaczenia, żył w ciężkim znoju i nieustannych kłopotach. Zwyżka lub nagły spadek cen, przesilenia ekonomiczne danej chwili, ciężka odpowiedzialność wobec tysiąca rodzin, powierzających mu mienie, płoszyły nieraz sen z jego oczu, trzymając umysł w ustawicznej gorączce i natężeniu... Zdanie moje wyda się panu może paradoksem, lecz wyznaję szczerze, że gdybym była prostym skwaterem, posiadającym jedynie strzelbę i konia, to jeszcze nie zamieniłabym losu swego na los ojca i jemu podobnych przemysłowców.

— A przecież kochałaś go pani, a on nawzajem znajdował szczęście w przywiązaniu żony i córki.

— Tak jest, był zawsze najczulszym mężem i ojcem, lecz rozliczne zajęcia i obowiązki odrywały go zbyt często od ogniska domowego... A czyż właściwy cel i zadanie życia nie leży w obopólnej miłości i w szczęściu drogich nam istot?

— I to mówi owa zimna miss Lucy?—rzekł Paweł, usiłując pokryć wzruszenie, wywołane powyższemi słowami dziewczyny. Czyżbyś pani rzeczywiście pragnęła kochać i być kochaną?

— Nie wiem — odparła cicho i niewyraźnie, posyłając w dal rozmarzone spojrzenie. — Trudno coś orzec o uczuciach, których się nie doświadczało. Przypuszczam jednak, że dla ukochanego człowieka poświęciłabym wszystko.

Pawłowi serce gwałtowniej uderzać poczęło... Milczał przez parę minut i jakby przezwyciężając trwogę i wzruszenie, zapytał znienacka:

— A mnie czy mogłabyś pani kochać choć trochę?

Wybuchnęła dźwięcznym, przeciągłym śmiechem, i spoglądając na barona z przechyloną w tył główką i przymrużonemi oczami, nadającemi dziwnie figlarny wyraz jej obliczu, rzekła wesoło:

— Jesteś pan zanadto ciekawy.

— Jak każdy zakochany.

— Pan zakochany?

— W pani. I gdybyś pani wiedziała, jak ją kocham.

— Wielki to zaszczyt, baronie de Cravant.

— Miss Lucy Andrimont, błagam cię, przestań żartować.

— Doprawdy? żądasz pan tego na seryo? Ależ w takim razie musiałabym prosić pana, abyś przyłączył się do całego towarzystwa i zwrócił te komplimenta pod właściwym adresem, to jest pod adresem panny de Jessac i pani de Trésorier...

— Już bardzo dawno powiedziałem tym paniom, co miałem im do powiedzenia.

— Zaiste, niezbyt zachęcająca perspektywa, bo któż mi zaręczy, czy po upływie pewnego czasu nie powiesz pan znowu przed kimś o mnie tego samego, co przed chwilą słyszałam z ust pana o tamtych paniach.

— Nie rozumiesz mnie pani, co innego miałem na myśli. Z panią Trésorier i panną de Jessac znamy się niemal od dziecka. Jest to dziś stosunek zażyłej przyjaźni. Znamy się zbyt dobrze, aby jakieś inne uczucie łączyć nas mogło...

— Gdy przeciwnie, zalecając się do mnie, ulegasz pan poprostu przelotnemu urokowi nowości.

— Jesteś pani okrutna! Bawisz się mojem cierpieniem, a przecież musisz wiedzieć, że to, co wyrzekłem, było szczerą prawdą...

— Jesteś pan wzorem szlachetności.

— Przynajmniej wysłuchaj mnie pani cierpliwie... Proszę o kilka minut czasu.

— Już od pół godziny słucham pana i usłyszałam aż za wiele...

W toku tej rozmowy przeszli na drugi koniec bulwaru i usiedli w cieniu obok stosów drzewa przeznaczonych do tartaku w Dives. Pod wpływem głębokiego uczucia głos Pawła brzmiał prawdziwą powagą, gdy teraz zwolna zaczął opisywać Łucyi pustkę i czczość życia, które prowadził już od lat tylu. Teraz dopiero zrozumiał całą jego nicość. Obecnie oddawał zupełną słuszność twierdzeniu Łucyi, że biedni ci rybacy, mimo jednostajności zajęć, mogą istotnie czuć się szczęśliwymi. Błogie, nieznane dotąd uczucie zagościło w piersiach Pawła, a w umyśle zaczęły już kiełkować zacne i głębsze niż dotąd poglądy na życie i obowiązki. Pod wpływem miłości powierzchowny światowiec przeobrażał się w człowieka znudzonego bezmyślnym trybem życia i tęskniącego bezwiednie do lepszych, szlachetniejszych celów. Łucya słuchała go ze zdziwieniem, nie przypuszczała bowiem nigdy, aby usposobienie Pawła mogło uledz radykalnej zmianie i to tak szybko i bez wyraźnych ku temu pobudek.

— Ciekawam bardzo — rzekła — czy zdołałbyś pan wytrwać dwa tygodnie w przekonaniach, które głosisz w tej chwili?

— Zdaje się, że mógłbym dochować im wiary do końca życia. Stosunki układały się dotąd tak, że nie miałem sposobności zastanawiać się głębiej nad sobą; zresztą losy nie pozwalały mi długo spotkać na drodze życia kobiety, którąby potrafiła natchnąć mnie głębszemi uczuciami. Dziś widzę, że gorąca, bezgraniczna miłość zapełniłaby całe moje życie. Jeżeli mi pani nie wierzysz, to może sama poddasz mnie tej próbie?...

Łucya uśmiechnęła się ironicznie.

— Ale czemuż ja właśnie mam być tą ofiarą. Poszukaj pan sobie kogoś innego! Miej litość nademną, wszakże nie zrobiłam ci nic złego!

— Nie obawiaj się pani, żądania moje są skromne. Mam tylko jedną prośbę: oto pozwól się kochać...

— Przyjemności tej nie odmawiam nikomu.

— I czasami mówić ci o tem... — ciągnął Paweł.

— Oho, jak widzę, powoli rozszerzasz pan swe wymagania!

— Jeszcze jedno — kończył Paweł niezrażony żartobliwym tonem Łucyi. — Nie uprzedzaj się pani do mnie i pozostaw mi przynajmniej nadzieję, że może kiedyś, z czasem, zmienisz swój sąd o mnie.

— To już lepiej, mój panie, abym odrazu złożyła me serce u twych stóp, skoro taka jest twoja wola.

— Przeciwnie, nie przypuszczam nawet, abym kiedykolwiek zdołał posiąść twe serce...

— A zatem?

— Poprzestanę na rączce — rzekł, śmiejąc się. — Na początek wystarczy mi ta dłoń alabastrowa, bo nie wątpię, że następnie pozyskam i serce.

— Tak pan sobie ufasz!

— Upewniam cię, pani, że nie jestem zarozumiały; otuchy tej dodaje mi przeświadczenie o potężnej miłości, jaką czuję dla ciebie...

— Od tygodnia?

— Od chwili, w której ujrzałem panią po raz pierwszy!

Skreślił jej w żywych słowach wrażenie, jakiego doznał zobaczywszy ją u Fontenayów, dalej radość z powtórnego spotkania i długo ścigającego go wspomnienia. Mówił to wszystko stłumionym, drżącym głosem; wzruszenie jego udzieliło się stopniowo Łucyi... Umilkła i przestała żartować. Opanowało ją uczucie dziwnej jakiejś zadumy i uroczystego smutku. Nie czuła, że dłoń jej spoczywa w dłoni młodzieńca, i że ten ostatni nie spuszcza oka z jej twarzy. Poważna była i skupiona jak każda Amerykanka wobec wielkiego słowa: „małżeństwo“. Wyznanie Pawła potrąciło najsłabsze struny jej duszy i zmusiło do zastanowienia się nad człowiekiem, który pragnął towarzyszyć jej przez całą wędrówkę życia.

Podniosła przeto spuszczone rzęsy i spojrzała na Pawła badawczo i ciekawie. Cravant był niewątpliwie ładnym chłopcem, ale delikatne, zbyt delikatne może rysy jego twarzy nie odpowiadały ogólnym pojęciom urody męskiej. Nie przypominał niczem legendowych bohaterów z odległej epoki, gotowych wyzwać świat cały do walki, a o których po wszystkie czasy śnić będą dziewczęta, podobne do Łucyi. Niewiadomo, dlaczego, ale podobno samą siłą kontrastu przyszła jej teraz na myśl męska i dumna postać Armanda, i pierwszy raz uderzyło ją przeciwieństwo obu tych ludzi. Przy Armandzie sprawiał baron de Cravant wrażenie dziecka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Braci Fiałkowskich — Z drukarni E. Winiarza.